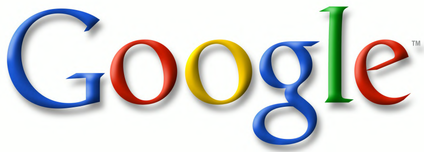
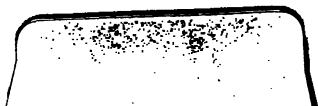

Google

TETMAJER

POEZYE





POEZYE

III

Tegoż autora wyszły:

POEZYE. Serya I. Wyd. drugie (pod prasą).
POEZYE. Serya II. Wyd. drugie.
POEZYE. Serya III. Wyd. drugie.
POEZYE. Serya IV.
WYBÓR POEZYI. Wyczerpany.
ANIOŁ ŚMIERCI. Romans. 2 t. Wyd. drugie.
MELANCHOLIA. Drobne utwory prozą.
OTCHŁAŃ. Fantazya psychologiczna.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER





POEZYE

III

Wydanie drugie.



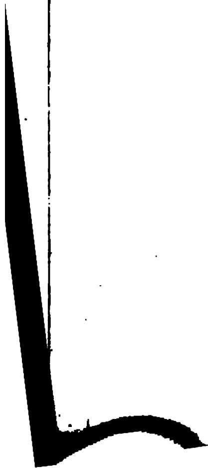
WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900

Дозволено цензурою.
Варшава, 14 Декабря 1899 г.

I

WIERSZE RÓŻNE

Panu Ordynatowi Adamowi Krasińskiemu
na pamiątkę wspólnego pobytu w Heidelbergu



Rzeka mistyczna.

Coraz dalej płyniesz rzeko, rzeko,
Brzeg twój coraz pustszy i urwistszy,
A twe wody płyną coraz bystrzej
I pian męty ciemne z sobą wleką
Ku otchłani, gdzie wszystko przepada,
Gdzie ostoi się tylko Zagłada.

Ah, te źródła jasne i przejrzyste
Pod promiennym, pogodnym błękitem;
Te narcyzy z kwieciem srebrnolitem
Nad źródłami i lilie śnieżyste
I to złote słońce, co upadło
W pełne kwiatów szklannych wód zwierciadło...

Ah, nie wrócisz ty już rzeko, rzeko...
Coraz dalej płyniesz, coraz dalej...
Źródła twoje zostały w oddali,
Brzeg twój kwietny pozostał daleko...
Między martwe stepy i pustynie,
Fala twoja głucho, martwo płynie.

A tam czeka ciebie i pochłonie
Tajemnicza i straszliwa przepaść,
Kędy wszystko, co jest, musi przepaść;
Niezgłębione, nieprzejrzane tonie,
Gdzie, niezwrotnej podróżnicy drogi,
Giną światy całe i ich bogi.

Łąka mistyczna.

O cicha, jasna łąko, o zielona
Łąko daleka.
Ku tobie dusza smutna i zmęczona
Z bagien i piasków posępnych ucieka,
Wśród jasnej, cichej zieloności twojej
Szukać spoczynku, szukać niepamięci...
O jakaż czystość twych kryształnych zdroi,
O jakże nęci
Twoja pogodna złocistość słoneczna;
O jakże koi
Twa cisza wieczna...
O łąko jasna,
Jako zagroda wydajesz się własna
Tym, co na całej wszechziemskiej przestrzeni
Głowy nie mieli gdzie skłonić znużeni.
Letejską zdasz się zbawienną krynicą
Dla tych, co w duszy mając żar i płomień,
Żądz swych szukali żywych uwidomień,
Choć prędzej cienie swoich ciał pochwycą...

Tam — niema więcej czasu i przestrzeni,
Tam światłoskrzydłe przejrzyste i śpiące,
W łodziach, ze ściętych w kryształy promieni,
Godziny wiszą w powietrza ogromie,
Nie pnąc się więcej za jasnością w słońce,
Ani ku nocy chyląc się krawędziom —
Zaczarowanym podobne łabędziom,
W promiennych łodziach wiszą nieruchomie...
Tam między polne
Zioła i trawy i gaje pachnące,
I lilie, srebrnym świecące się puchem,
Czyste i białe chodzą dusze wolne,
Czujące rozkosz najwyższą: być duchem.

Potok symboliczny.

W skrzesanych turni rozpadlinie,
W zawrotnej wysokości skalnej,
Szumiący, bystry potok płynie
Niedosłyszany, niewidzialny.

Ze źródeł pod szczytami ścieka,
Gdzie tęcza wiesza świetny nimb,
A szumu jego tam zdaleka,
Samotnych słucha garstka limb.

Jak poświst wiatru w chmur pomroczy,
Tam, z dołu, z ziemi, niesłyszany:
On szumi — i wód fale toczy
Między skrzesane, ciemne ściany.

W koło jest pustka tak ponura,
Takiego chłodu wieje prąd:
Że nawet orły strzępią pióra
I odlatują szybko stąd.

I tylko potok sam, samotny,
Potok potężny, srebrnopiany,
Szumi w wyżynie tej zawrotnej
Pomiędzy ciemne płynąc ściany.

Szumi i pędzi — i z urwiska
Przez głaz, co góry z sobą skuł,
W otchłań się czarną srebrny ciska
I leci bez pamięci w dół.

Fala za falą rwie się, pieni —
Potok samotny, tryumfalny,
Płynie wśród ciemnych cisz i cieni,
Niedosłyszany, niewidzialny.

Haha! Jak krążą ponad szczyty
Kłęby obłoków z wichrem w tan!
Mgieł tuman w lot się porwał, wzbity
Zamachem wichru z skalnych ścian!

Haha! Jak kłębią się i plączą,
Jak się motają z sobą, wznoszą,
W dół opadają — i znów rączo
Nad wierchów suną się pustoszą...

Haha! Jak gwiżdże wiatr i huczy,
Jak huczą złomy stromych ścian —

Zda się, że Szatan tu się włóczy
I w róg uderza, pustyń Pan...

A w głębi cicho, ciemno, mroźno —
W zawrotnej skalnej rozpadlinie,
W straszliwej ciszy pustką groźną
Szumiący, bystry potok płynie.

Niedosłyszany, niewidzialny,
Skąd wstaje tęczy świetny nimb,
Płynie, a jego tryumfalny
Szum słyszy garść samotnych limb.

Płynie i fale z góry ciska,
W bezdenną otchłań, w zwał granitów,
I szum szeroki tam, z urwiska,
Rzuca w dół z falą z chmur i szczytów.

Wieczór majowy.

Za ciche wzgórza słońce się zanurza
Jaskrawe w mrocznej głębinie;
Z ciemniejącej ściany skał, powiew różany
Odblasku spływa i ginie.

W toni przezroczej srebrnomodre oczy
Otwiera wieczór majowy
I w mgieł aureoli opada powoli
Na lasy, łany, dąbrowy.

Wyciąga ręce i ściera rumieńce
Ostatnie z niebios rubieży,
A gdy w mroku zbledną, senną gwiazdę jedną,
Jak lampę zapala w wieży.

Z za gór uboczy srebrny księżyc toczy
W otęczy światła przymglonej
I światła mgławicą chmury wskroś się sycą
I mgieł powiewne opony.

W górskiej dolinie pomroczą owinie
Bór stary, odwiecznogłosy;
Na liściu paproci światełko rozzłoci
Pod księżyc upadłej rosy.

Spływa ku łąkom i szepcącym dzwonkom
Stula listeczki wilgotne;
Na zboczu urwistem wichrowym poświstem
Kołysze jodły samotne.

Błędne ogniki rzuca na trawniki
I na posępne bagniska
I z ponad miesiąca błędne gwiazdy strąca
I kędyś w otchłań ciska.

Głowę swą kłoni na skrzydła tych woni,
Co z kwiatów cicho się wznoszą,
I z wonnym powiewem zawisa nad krzewem
Słowików słuchać z rozkoszą.

W ponure groty rzuca promień złoty
Księżyca przez gąszcz i liście,
I pieśni słowicze w głusze tajemnicze
Wsącza i brzmi w nich srebrzyście.

Gdy w ciemnej fali niebiosów zapali
Gwiazd niezliczone kagańce,

Co świecą, jak łodzie na niezmiernej wodzie,
Na świata płynące krańce:

Wówczas na sady, chaty i lewady
Na wody, kwiaty i drzewa,
W mgławic aureoli opada powoli
I zwolna z nocą się zlewa.

Pierwotna przyroda.

Cóż jest prócz ciebie przyrodo pierwotna,
Godnego duszy, co pęta zdruzgoce
I krwi ofiarą ducha wzmógłszy moce,
Staje się górna, dumna i samotna?

Tam, w nieskończoność, idzie ona przez twą
Wieczność i pełnię; tobą się oczyszcza
I depcąc nędzne ziemskich złud bożyszcza,
Przeczuwa Boga olbrzymie królestwo.

Tyś jako potok letejski jest dla niej,
Kędy swe skrzydła wniebowstępne pławi,
Kiedy je życie zbrudzi lub okrwawi
I chce ją strącić z pod gwiazd do otchłani.

W tobie jest wszystko i ten ład jest wieczny,
Co duszę ranną, rozbolałą, krwawą
Ucisza, mówiąc: we mnie moc i prawo,
Pierwsza przyczyna i cel ostateczny.

Mojżesz.

Posnęli... Otom lud ten wywiódł z mocy wrogów,
Z domu niewoli i z pęt, w których męże jęczą,
A niewiasty usiadłszy przy żarnach u progów,
Stopy swe okuwają gorzkich łez obręczą.

Wybudowałem w drodze piramidy trudu,
A jak powódź nilowa namula równiny,
Ja namulałem cnotą łan serc tego ludu,
I jako kłosy pełne w polu: są me czyny.

Nie bawiłem się kiedy wsiami albo miasty,
Anim w winnicy grony poił się winnemi,
Albo rękoma dotknął słodkich biódr niewiasty
I czuł drżące jej ciało pod piersiami memi.

Alem wywiódł i wiodę, choć wiem, że nie wnijdę,
Idąc przodem, jako dziób prujący okrętu,
Albo ostrz stalny, wbity na drewnianą dzidę,
Lub cap, pierwszy skaczący z skalnego zakrętu.

I nigdym się nie skarżył, anim czego żądał,
I byłem jako wielbłąd, okręt napustynny,
A Tyś był, jako jeździec i drogiś oglądał,
A jam szedł w uździenicy Twej mocy powinnej.

Anim kiedy wstręt czynił Twemu rozkazaniu,
Albo był dla Twej ręki żwirem w mące pszennej;
Alem był, jako żagiel wichrów Twoich wianiu,
I dla oblicza Twego, jak kryształ studzienny.

A przeczżeś mi jest dzisiaj, jako Sfinks milczący,
Przeczżeś mi jest, jak orzeł — któż zna jego drogę...
I jako delfin, wodę w głębi mórz prujący,
I czemuż Cię dziś widzieć i przeznać nie mogę?...

Orzeł morski.

W cuchnącej menażeryi, w niewielkiej drucianej
Klatce, na małym złomie bazaltowej skały,
Siedzi, odąwszy piersi, smutny, osępiały
Orzeł morski; tuż obok żółwie i pawiany.

Pokrwawionego kędyś w stepach go ujęto,
Gdy mu kula złamała skrzydło pod obłokiem;
Lata już całe bawi ludzi swym widokiem,
Patrząc w pół ciemne okno źrenicą przymkniętą.

Bezduszne i bezmyślne gapią się nań tłumy,
Gniewa je nieruchomość, obumarłość ptaka,
Potrącają go, klatkę próbują zdjąć z haka,
Ale niczem nie mogą wyrwać go z zadumy.

W ciasnem, dusznem więzieniu dumny ptak królewski
Lat dziesiątki już ginie w męczarniach powoli;
Za widok jego płacą, jego ból nie boli,
Więc ginie między druty zamknięty i deski.

A tam — szeroka, pusta niebiosów opona,
Jasny, wielki krąg słońca daleko, daleko...
Hen, w dole, chmur srebrzyste tumany się wleką
I płaszczyzna wód morskich, ciemna, nieskończona...

Tam — wysp zielone smugi i okrętów białe
Migoczące się ławy i bory olbrzymie;
Wulkany, grzmot w czerwonym ciskające dymie,
I śnieg, srebrzący szarą górskich wierchów skałę.

I cicho... Tylko w głuszy słychać gdzieś dalekiej
Gwiazd toczących się w bezdni grzmiące kołowroty,
Z hukiem śmiga i pęka gdzieś meteor złoty — —
Cicho... Tu gwarną falą nie suną się wieki...

Oto noc. Siadłszy kędyś na podniebnej skale,
Osrebrzony światłością księżyca, powoli
Olbrzymi ptak zasypia w światła aureoli,
W majestacie potęgi i królewskiej chwale.

Śni mu się jego straszna moc i lot zuchwały,
Śnią mu się łowy, walki, burze, oceany...
Cóż ci się tu śni, orle, w twej klatce drucianej?
I tu ci dano kawał bazaltowej skały!...

Rusałki.

Od pól rusałki lecą
We mgłach i wód oparach,
Ogniki łapią błędne
Po bagnach i moczarach.

Nad gajem wiklinowym
Taneczny wiją krąg,
A wiatr po łąkach szemrze,
A kwiaty pachną z łąk.

Od pól rusałki lecą
Miesięczną cichą nocą
I łąki rosą srebrzą,
I gaje rosą złocą.

* * *

Od pól rusałki lecą
W perłowych mgieł pomroczy,
A dziecko na nie patrzy,
Otwiera wielkie oczy.

Zdumione patrzy cicho
Na ich taneczny krąg,
A wiatr po łąkach szemrze,
A kwiaty pachną z łąk.

Od pól rusałki lecą,
Miesięczną cichą nocą
I łąki rosą srebrzą
I duszę dziecka złocą.

* * *

Od pól rusałki lecą,
Splatają w locie wieńce —
Skrzydlaty ku nim chłopiec
Wyciąga w górę ręce.

I dusza mu się do nich,
Skrzydlata dusza rwie,
A one zaślnią w blasku,
W perłowej giną mgle.

Od pól rusałki lecą,
Nad chłopca zwisną głową,
Białe doń ciała zbliżą —
I lecą w mgłę perłową...

* * *

Od pól rusałki lecą,
We mgłach i wód oparach,

Ogniki łapią błędne
Po bagnach i moczarach.

Ujrzały duszę cichą
I nieskrzydlatą już —
Złamane, krwawe skrzydła
Upadły w proch i w kurz...

Od pól rusałki lecą
W miesięcznych blasków fali,
Ujrzały krwawe skrzydła —
I tańcząc lecą dalej.

Ogród Lezbijski.

Noc księżycowa. Ogród pełen cienia,
Gmach na kolumnach wykutych w marmurze,
Świateł szafiry, topazy i róże,
Alabastrowe sale i przedsienia,
Kwiaty w wazonach rzniętych w ametyście,
Kielichy z piany, ze szmaragdu liście.

Wśród świateł, kwiatów, wśród kolumn szeregu
Stoją posągi. Podstawy z marmuru
Srebrniejącego mają blask lazuru.
Na ścian gładzonych kryształowym śniegu
Zwierciadła w jaspis oprawne je dwoją —
Rzędem wśród kolumn nieruchome stoją.

I tylko zda się, że ich oczy żyją
I patrzą ciche a pełne płomieni;
I tylko zda się, że się im rumieni
Pierś i faluje pod wysmukłą szyją.
Rzędem wśród kolumn stoją nagie, czyste — —
O Afrodyte! o bóstwo świetliste!...

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

O Safo! Twoją ten ogród świątnicą!
Patrz! jakie cudne a potworne sploty!
Patrz!... Marmurowy twój posąg z pod groty
Laurowej wielką spogląda źrenicą,
A na twej harfy złotostrunnej struny
Biją od świateł płomienie i łuny.

Kamiennym palcem uderz w harfę złotą:
Niech zabrzmi pieśń... Miłości pieśń... A owe
Ockną się białe bóstwa marmurowe
I żywym z sobą uściskiem się splotą...
Promienne bóstwa rozkoszy, zaklęte
W głaz, nieruchome, cudowne i święte.

O zejdź z marmurów twego postumentu
Afrodis biała! zrzuć zazdrosne szaty!
Na bujną trawę między wonne kwiaty
Zejdź safickiemu przypatrzeć się świętu —
Eros skrzydlaty, stanąwszy w podziwie,
Zdumioną strzałę wstrzyma na cięciwie...

Zbudź się łabędziu! podnieś skrzydła śnieżne,
Splot ramion poczuj, co jak miękkie fale
Objęły ciebie; te dłonie, co w szale
Na barkach twoich zawisły lubieżne,
Niechaj ci gładzą pióra; ta pierś biała
Pod twoją piersią niech drży, dyszy, pała...

Noc księżycowa. Zdala szumi morze
Swoją pieśń cichą, wieczną i olbrzymią,
Kratery ogniem błyskają i dymią,
Woń róż, jak obłok, zawisa w przestworze
I palm kopuły ciemne się kołyszą — —
Cyt — jaką wszystko przepojone ciszą...

O sonecie.

Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
Zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
W którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
W rozmiarach wiecznie jednych, kształty coraz nowe.

Lubię te dźwięki pełne, szerokie, bronzowe,
Brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
A w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
Jak mgły na jednem niebie w przeróżną posnowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
Olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym tumie:
Lubię to górne, wązkie, naskalne wydroże,

Skąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
Lubię tę gwiazdę małą, co świeci, jak zorze,
Dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów szumie.

Wędrowcy.

Przez ogród idą pełen cudnych kwiatów
Na piersi twarze zadumane kłonią,
Nie upajają się czarowną wonią,
Ani wieńcami stroją się szkarłatów.

Pojmują rozkosz barw i aromatów,
Nęci ich ona, lecz nie sięgną po nią:
Chwytają ciernie pokrwawioną dłonią
I liczą ślady bolesnych stygmatów.

Aż przed bramami stanąwszy ogrodu,
Rzekną: »Otośmy zaufani w Słowie,
Drogę żywota przecierpieli całą,

Wściekłego naszych żądz nie sycąc głodu —
Otocz nas nagród obiecanych chwałą
Panie!...« Lecz jeśli nikt im nie odpowie?..

Szukają bóstwa...

Szukają bóstwa: jedni z nich w popiele
Nurzając głowy i ścieląc się w kurzu
Przy marmurowych posągów podnóżu,
Albo w posępnym, milczącym kościele;

Inni ku niebu skroń podnosząc śmiele,
W słońc życiodajnych promienistym różu,
W gór, oceanom ochronnem przedmurzu,
W mądrem i dobrem wszechstworzenia dziele;

Inni spokojni, cisi, zadumani,
W nieogarnionej szukają go głuszy,
W nieskończoności bezdennej otchłani — —

Tak od początku swojego istnienia
Wszędzie szukają bóstwa bez wytchnienia,
Tylko go w własnej nie szukają duszy.

Wszechmocny Bóg.

»W koło mej głowy światy. Sam z siebie je tworzę
I sam w sobie je niszczę. Nieskończoność, wieczność
Stworzyłem. Rozkazałem — i wstała konieczność,
By okuć wszechistnienie w wieczystą obrożę.

Zechcę i drzwi nicości istnieniu otworzę;
Drżą światy, mojej woli widząc obosieczność
I czując dwóch idei nieustanną sprzeczność,
Z których żadna dotychczas zwyciężyć nie może.

Lecz gdy zechcę, zwycięży ta, co niepojęta,
Od wieków trwoży światy: idea niebytu,
I tylko sam zostanę, moc nieogarnięta.

Blade cienie, posępne, nikłe mary mytu,
Kupią się niezliczoną chmurą pod me nogi:
Depcę je w mej olbrzymiej chwale — to są bogi.«

Próżno w swej duszy...

Próżno w swej duszy przepastne otchłanie
Rzucasz źrenicę, jak ołów: nie spadnie
Głębiej, niż może, i zawsze coś na dnie
Niedojrzanego dla niej pozostanie.

Choćby poznała nawet rusztowanie
Na którem cegła twych myśli się kładnie,
By wznieść gmach czynów życia; choć odgadnie
Nawet fundament, na którym gmach stanie:

To w tajemnicy pozostanie wiecznej
Szczyt wieży gmachu i kamień węgielny,
Bo, aby zbadać duszy swej głębinę,

Musiałbyś poznać skutek ostateczny,
I znać najpierwszą wszechistnień przyczynę,
A tych nie dojrzy nigdy wzrok śmiertelny.

Zbrodnie.

Na rozhukanych koniach, wśród zamieci,
W wirze kurzawy kłębów, chrzęstu, łomu,
Wśród huraganów ryku, grzmotów, gromu:
Orszak fatalnych amazonek leci.

Lecą przez łany i stepy stuleci,
Przez pieśni zwycięstw, przez jęki pogromu,
Pośród wrzaw pychy, pośród milczeń sromu,
Przez wały złomisk, przez ogrody kwieci...

Lecą w purpurach i szmatach u ramion,
Trzymając w rękach lilie i pochodnie,
Krwią, łzami, błotem szlak ich dróg poplamion.

Jedne urocze, jak hurysy wschodnie,
Inne, jak furye, pełne wstrętnych znamion:
Na rozhukanych koniach lecą Zbrodnie.

Motyl.

Wyżej! Kędy wiatr gwiżdże i po turniach dzwoni,
Tam, kędy obłok oparł o głaz białe stopy
I złotych blasków słońca wziąwszy na grzbiet snopy,
Ku błękitnym niebiosom wzniósł purpurę skroni!

Wyżej! Gdzie krzywoszpony ryś w chytrej pogoni
Ściga dzikich kóz szereg błyskawicostopy;
Gdzie się z urwisk śniegowe zsypują roztopy
Z hukiem na zżółkłe trawy o uwiędłej woni...

Wyżej!... Szczyt — powódź wierchów... Jak pu-
[sto... W zawrotnej
Wyżynie coś się bieli u skalnej krawędzi —
Ha! motyl, biały motyl, wiatr go tutaj pędzi...

Pod nim ciemna toń stawu... leci ku głębinie,
Zmęczył się, spada niżej, niżej — ha! już ginie —
Samotny wbiegł pod słońce i zginął samotny.

Hala.

Cudna, złota jutrzenko wśród mroków granitu!
Senna zatoko pośród spiętrzonych fal cieśni!
Jasny kwiecie wśród lasu, cicha, słodka pieśni
Wśród szturmu trąb grzmiącego pod sklepy błękitu...

O halo górska! Oczy omdlały z zachwytu —
Twój widok roześpiewi duszę i roześni
I marzyć na twem łonie zielonem bezkreśniej,
Niż tam — na czole skalnej piramidy szczytu.

Tu oczy obróciwszy ku złotemu słońcu
I ku białym obłokom na błękitnem niebie,
Można świata zapomnieć i zapomnieć siebie —

Utopić duszę całą w wód i lasów szumie
I w tej upajającej, bezkreśnej zadumie
Chcieć śnić do życia końca i po życia końcu...

Z przełęczy »Mechy.«

Dwa meteory blasku spadły w ciemność mgławic
I zawisły w przestrzeni olbrzymie i złote,
Rzucając promienistą dokoła pozłotę
I pąsowo-płomienne kaskady błyskawic.

Pod niemi, z między szarych, granitowych ławic,
Wulkan, zda się, podziemną rozsadziwszy grotę,
Roztrysnął huragany ognia w mgieł ciemnotę,
Jak granat pośród wichru płomiennych trzaskawic.

Zwolna wszystkie się światła zlały w jedno słońce
Olbrzymie i jaskrawe na mgieł ciemnem morzu,
Coraz niżej w dolinę śródskalną płynące —

Aż upadło w kamienne gdzieś złomy daleko,
I po szerokiem, krętem górskiej wody łożu
Płynie ogromną, złoto-purpurową rzeką.

Pod Rysami.

Ciemno. W powietrzu wilgoć. W Rysach potok huczy,
Staw uderza o brzegi, bulkota i pluszcze;
Wiatr błądzi przez nadwodne, puste, głuche puszcze,
I gwiżdżąc, po upłazach i turniach się włóczy.

W ciemni blask czasem zalśni metaliczny, kruczy
Na wodzie, którą lekki wiatr marszczy i muszcze;
Zaczernią się na brzegu kosodrzewu kuszcze,
Lub skała się w cień blady, posępny obłóczy.

Ciemno — — wtem gdzieś w przepastnej nieprzej-
[rzanej dali
Zabłysło — — czy to spadła na brzegi odmętu
Gwiazda o promienistym blasku dyamentu?

Już błysła druga, trzecia, już dziesięć się pali — —
Rzekłbyś, że się gwiazdami podnóże gór złoci — —
A księżyc wyszedł mgławo w powietrznej wilgoci.

W Kościeliskach w nocy.

I.

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
Idą z gór lasem zrosłych, z upłazów i jarów
Tajemnicze milczenia w mgławicach oparów,
Wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk.

Głucho warczą strumienie po głazach swych ścielisk,
Las śpi. Na nieruchomą, czarną toń konarów
Padł, wschodząc przez wyrwany wśród wapieni parów,
Miesięcznego przedświatła srebrzysty obelisk.

Fosforyczną białością powlekły się ściany
Nagich, skrzesanych turni; wielka cieniu rzeka
Ogarnia je i niesie w mroku oceany.

Wszedł księżyc: na wierzchołku zaczepił się smreka,
Rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd błyskawice
I kiście świetlnych kolców wbił w nieba ciemnicę.

II.

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa — —
Jaki dziwny szum wody — — coś, co niepokoi,
Snuje się po dolinie, wśród gęstwin się roi — —
Lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu rozwiewa...

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa — —
Jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi —
Zda się, widmo u groty głębokich podwoi — —
Jak dziwnych głosów echo skądś wśród gór po-
[brzmiewa...

Zda się, że coś zawodzi, skowyczy i płacze —
Cicho!... Jaki dreszcz szybko przemknął się gęstwiną —
Gdzieś w lesie zajęczały ponuro puhacze...

Tu — mogiła pod stosem chrustu i smreczyną —
Zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę skacze — —
Jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

Z Kasprowskiego wierchu.

Bronzowo-złotym liściem błyszczą się skorusze
Głęboko w zagęstwionej Wierchcichej dolinie;
Wkoło gładkich uboczy olbrzymie pustynie,
Okryte przez pożółkło-złotej trawy plusze.

Wiatr. Huczą zamgławione nad wierchami głusze,
Słońce ma blask ołowiu — — wtem z południa płyni
Biały, podarty obłok — rozwiał w chmur głębinie
Olśniewających blasków pełne pióropusze.

W śnieżno-modro-ognistych barw fosfor się mieni,
Pali się na powietrzu i jak szmat płomieni
Wznosi się i zawisa wśród otchłani mglistej.

A od północy błękit krysztalno-przejrzysty,
Cud błękitu! w mgieł wpłynął sine fiolety
I objął w blask dalekich gór złociste grzbiety.

Dzwony św. Piotra w Rzymie.

Za każdym grzmotem dzwonów, zda się, że wylata,
Z kopuły huf aniołów w cztery strony świata,
A każdy, z wichrem włosów w swej ręce olbrzyma
Miecz płomienny, w źrenicach sto błyskawic trzyma,
I lecą... Ziemia gnie się... Nad miasty i sioły
Zawisają spiżową chmurą te anioły,
I zda się, swoją straszną i ogromną mocą
Słońce strącą gdzieś w przepaść i niebo zdruzgocą!

W kaplicy Sykstyńskiej.

Ta ściana cała ryczy, jak bawół zraniony!
Ten Chrystus tam, jak piorun, z cyklopa ramiony,
Ta trupia głowa pełna boleści i jęku,
Ten szturm klątew, rozpaczy, wściekłości i lęku,
Farba zmieniona w kamień, pędzel w dłuto, siła,
Co, zda się, góry pięścią na miał-by kruszyła!
Źrenice głuche patrzą z pod skostniałych powiek — —
Wulkan to chyba z siebie wyrzucił, nie człowiek.

Słońce.

Słońce! Słońce! Słońce! Słońce!
Wszystko lśni się, świeci, pała,
Złote iskry skaczą z morza,
Złotem błyska mewa biała.

Złote smugi drżą na wodzie
Aż po Capri, po Sorrento —
Na słoneczny wiatr okrętów
Białe żagle rozwinięto.

Na roztoczach morskich głębi,
Na szmaragdach i błękitach,
Fioletu ciemne plamy
W rozzłoconych lśnią prześwitach.

Wzgórz majaczą gięte łuki
Przez przezroczą mgłę błękitną —
Na ich stokach białe miasta,
Jak kamelij ogród kwitną.

A tam w dali przezroczysto,
Jak jezioro lśni się morze —
Srebrno-białej gładkiej tafli
Jeden wiatru smug nie porze.

Jaki spokój tam i cisza — —
Zda się z głębi, od Sorrenta,
Wyjdzie cicho z morza Wenus
Naga, piękna, uśmiechnięta.

Wyjdzie cicho i z warkoczy
Strząśnie wody krople lśniące —
Świat się pławi w złotym blasku —
Słońce! Słońce! Słońce! Słońce!

Capri.

— —

Zbiegłem do stóp skalistej wysepce — —
Była cicha godzina poranna,
Woda jasna, szafirowo-szklanna,
Cicho dzwoni u brzegów i szepce.

Jeszcze, zda się, kołyszą się wianki
Róż kwitnących w tej wodzie przezroczej,
Które tutaj zrzuciły z warkoczy
Przed wiekami cezarów kochanki.

Jeszcze, zda się, pierzchnąć nie zdołało
Ich odbicie z kryształowej wody,
Gdy się, chciwe swej własnej urody,
Morzu piersią uśmiechały białą.

Jeszcze, zda się, w tej krainie czarów,
Nad tą wodą szafirowo-szklanną,
W taką cichą godzinę poranną
Słychać oddech kochanek cezarów.

Na Capri.

Z dwu stron wysepki szafir mórz
Błyszczy się pianą;
Różowe biegną stopy skał
W toń zwierciadlaną.

Na krzesanicy skalnej śpi
Cień ciemno-siny;
Wysoko w górze piętrzą się
Jasne ruiny.

Ogromny, świetny słońca krąg
Świeci w błękicie;
Naokół pusto, pusto tak,
Jak bywa życie.

W zatoce Neapolitańskiej.

Srebrno-modra, jak metal błyszcząca,
Nieskończonych wód powierzchnia leży;
Słońce wsparło się o wodę blaskiem
I zasnęło w błękitnej bezbrzeży.

Jaka dziwna, jaka dziwna cisza,
Jaki dziwny spokój w tej naturze...
Wszystko tonie, woda, ziemia, niebo,
W przezroczystym, świetlistym lazurze.

W jeden lazur świat się zmienia cały,
Cisza ziemi z senną nieba głuszą;
W jeden lazur świat zmieniony zda się
Być swą własną zadumaną duszą.

Pod Portici.

Szmaragdowe tafle szklanne
Monotonne, nieustanne,
W srebrną piętrzą się fontannę,
Bijąc w brzeg,
I rzucają dyamenty
Promieniste na odmęty
I w promienne wiją skręty
Kropel śnieg.

Wielki okręt port opływa,
Fala modra, srebrnogrzywa
Idzie cicha i leniwa
Za nim w ślad;
A gdy wiatr ją silniej trąca
Z głębin zrywa się do słońca
Na kształt białych bielejąca
Ptasich stad.

Pod Herkulaneum.

Od morza idą wielkie fale,
Idą leniwo i omdlale,
Niebieska woda u wybrzeża
W tuman się spiętrza i rożśnieża
I z szumem kaskadami ciska
Na szarych ruin rumowiska.

Różowiąc żagiel chwiejnej łodzi
W cień wysp i wzgórzy schodzi,
Na gór połogie senne grzbiety
Złotawe mglą się fiolety,
A z nad zielonych winnic w górę
Wulkan wyrzuca dymu chmurę.

Nad Sant Angelo mgieł koronka
W nieba niezmierny błękit wsiąka,
Nad skał rozdartych siwe pręgi
Białych obłoków wiszą wstęgi
I w dole, ledwo widne oku,
Bieleją domy na gór stoku.

A wkoło ruin dawnych zwały,
Mur zdruzgotany i zczerniały,
Olbrzymie czarne głazy w wodzie,
Lawa i pustka... Na zachodzie
Słońce, co się powoli zniża,
Zabłysło w chmurach na kształt krzyża.

Cichy, ogromny grób. Tam w głębi
Życia się wieczny splot nie kłębi —
Jak niegdyś lawa je zalała,
Od wieków leżą martwe ciała,
Których stąd nigdy nikt nie ruszy —
Strach w głąb tę schodzić ludzkiej duszy.

I serce bije jakąś trwogą,
Gdy brzeg od fali drży pod nogą,
Bo tam za każdym morza wbiegiem
Drży może szkielet pod tym brzegiem
I w tej ponurej, stęgłej ziemi
W takt się porusza wraz z żywemi.

Cicho tu. Widma ciszy senne
Zajęły pustki te kamienne;
Siedzą wśród ciemnych cieni rumu
I fal słuchają morskich szumu
I wychylają ptasie twarze
Patrzeć, kto idzie przez cmentarze?...

Może się trwożą ludzkim śmiechem,
Weselem oczu — i z pośpiechem
Kryją się w jamy, które drąży
Woda, nim wzrok je ujrzeć zdąży,
A potem patrzą z skał parowu
Skulone, czy jest cicho znowu?

I jak jaszczurki z swych komyszy,
Wychodzą blade widma ciszy
I rozglądnąwszy się, znów w cieniach
Ruin siadają na kamieniach
I patrzą w głuche, ciemne morze...
Ludzkie je szczęście trwoży może...

Apollo.

Gdzie świat mój dawny? Gdzie Muzy moje?
Gdzie Nimfy i Najady?
Przez martwe gaje, nad martwe zdroje
Nocami błądzę blady — —
Moc, co budziła miłość i trwogę,
Fatum mi z rąk wydarło,
A bezsilnemu zagradza drogę
W krainę iść umarłą.

Szczęśliwe bogi, co moc straciwszy,
Przybrały cieniów postać — —
Lecz ja, ze wszystkich najnieszczęśliwszy,
Musiałem tutaj zostać — —
I wspominając mą lutnię złotą
I łuku mego celność,
Ze znicestwienia próżną tęsknotą
Przeklinam nieśmiertelność.

Danae Tycyana.

Na miękkim puchu białego posłania
Promienna cała od słońca pozłoty,
Danae, Zeusa spragniona pieszczoty,
Z osłon swe ciało dziewicze odsłania.

Z niebios się ku niej świetlny obłok słania
I nagle deszcz zeń na nią spada złoty:
To bóg, miłosnej czując żar tęsknoty,
Zwisł nad cichego pełną pożądania.

Nagie jej ciało widzi i błękitu
Jej wielkich cudnych źrenic blask przymglony,
Senny, wśród boskiej rozkoszy zachwytu.

Przed złotym deszczem, od słonecznej strony,
U stóp jej białych, podobny do świtu
Gdy dnieje: Amor uchodzi spłoniony.

Virgini intactae.

Ust twych więc usta nie tknęły niczyje?
Nikt nie uścisnął twojej drżącej ręki?
Nikt się nie oplótł w twoich włosów pęki,
Ani się wessał w twoją białą szyję?

Nikt się nie wsłuchał, jak twe serce bije,
Jak omdlewają słów błękitne dźwięki,
A ciała twego kształt smukły i miękki
Zdrój tylko widział i wodne lilije?

I nigdy dumne to, królewskie ciało,
W niczyich ramion uścisku nie drżało?
Pragnienie twoje jest jak blask o wschodzie?

Nigdy w twych oczu słonecznym ogrodzie
Nie trysła rozkosz kwiatami złotemi?
Pójdź! Tyś jest szczęściem najwyższem na ziemi!

Dyskobol.

Tłum widzów. On spokojnym wzrokiem metę mie-
[rzy — —
Wyprostował się, ramion wiązanie natężył,
Głowę wzniósł, stopy w ziemię wrył, nogi naprężył,
W ręce trzyma dysk krągły — — wstał pierwszy
[z szermierzy.

Jeszcze chwila — kołysze dysk, zanim uderzy —
Wysunął lewe ramię, biodra, zda się, zwężył,
Na prawej nodze całym ciężarem zaciężył —
Rzuci — i laur zdobędzie znów na skronie świeży.

Na jego marmurowe, nagie, smukłe ciało,
Oliwą namaszczone, złotawe, błyszczące:
Pada greckie, promienne, uśmiechnięte słońce.

Przegiął się — dysk w stalowych palców ścisnął
[kleszcze — —
Kobietom w białych piersiach serce bić przestało,
A boskie uda słodkie wstrząsają im dreszcze.

Kallipigos.

Etruską wazę tknięciem czułej ręki
Pieszcząc, lub w greckiej malowanej czary
Wpatrzony Najad i Oread wdzięki,
Nie czuł rozkoszy tej patrycyusz stary:

Jaką uczuwa, kto z obsłony cienkiej
Odkrywszy światłu ciała twego czary
I dłonią pieszcząc kształt pełny i miękki,
Wzrok poi olśnień boskiemi nektary.

Temu, co rzeźbił Wenus Pięknotyłą,
Twoje się ciało przed wiekami śniło,
A nigdy przez liść blady róży białej

Półton karminu nie przeświecał piękniej,
Ni się czarowniej kiedy uśmiechały
Dwa śnieżne wzgórki słońcu... Patrz — i klęknij.

W Arkadyi.

Wielkie słońce. Zielony bluszcz i winogrady
Plotą po ciemnych skałach pachnące namioty
I powoje liliowe pną się koło groty,
Skąd biją szafirowe i srebrne kaskady.

Oliwny gaj, jasnemi sperlony owady,
Od motylów tęczowy: w gazie blasku złotej
Drzemie cicho, a w liściach radosne szczebioty
Słychać skrytej przed słońcem radosnej gromady.

Ku sadzawce się modrej bujna ściele trawa
Połyskująca w słońcu, zielono-złotawa,
A wśród niej kwitną białe i czerwone kwiaty.

Cicho... srebrne milczenie słonecznej pogody...
Wśród trawy się kołysze grzbiet Fauna kosmaty
I na nim splot namiętny ramion dziewki młodej.

Wizya lipcowa.

Błękitnych jezior oddalone fale,
Na falach słońce łagodne i senne,
Zielone gaje, brzozy srebrnopienne,
Bladych róż wieńce i maków korale.

Po łące, w szklannym powietrza krysztale,
Powiewne, zda się od słońca promienne,
Ludzkim podobne kształtom, lecz odmienne:
Nagie postacie błądzą półomdlałe.

Niezmierny spokój — — nad jeziora głębie
Błękitne, ciche, srebrzy się pierś biała
Pod jasne słońce lecącej rybitwy;

Nad gajem krążą złociste gołębie,
A owe kształty pół z światła, pół z ciała,
Zdają się tonąć w zamyśleń modlitwy.

Ekstaza.

Nie widzę, słucham cię oczyma, biała!
Nagości twojej linie i kolory
W hymn mi się jeden łączą różnowzory,
W muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała....

Melodyą jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,
Jako przelotne świecisz meteory — —
Pieśń twej piękności promienieje, pała...

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
Z twarzą od świata odwróconą, senną —
Tak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

Niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
Chodzili cisi, senni między ludem —
Oni widzieli cud i żyli cudem...

Posąg Hermesa.

Panu Józefowi Jasieńskiemu.

Rzeźbiarz Hermesa posąg wykuł marmurowy,
W dłoń dał mu opleciony wężem posoch biały,
Zaś do stóp mu przywiązał skrzydlate sandały
I dał mu uśmiech boski. W alei mirtowej

Postawiono go na tle groty porfirowej,
Skąd się róże i laury ku niemu zwieszały;
I bóg, Argos pogromca, pełen świętej chwały,
Zdał się śnić pod różami i laurem u głowy.

A co noc się mirtowe gałęzie rozchylą
Z lekkim, cichym szelestem i pomiędzy róże
Przegląda twarz — z Olimpu bogom ukradziona...

Z pośród gęstwiny stopą wybiega motylą
Dziewczyna — i objąwszy pierś boga w ramiona,
Wrzące pragnienie gasi na zimnym marmurze.

Świątynie w Pestum.

I.

Przez gaj nadbrzeżny morze, jak sadzawka w siole
Niewielka i spokojna, świeci smugą wązką,
Igrając ze zwieszoną ku wodzie gałązką
I osrebrzając tęczą szmaragdu półkole.*)

Smutne eukaliptusy stoją i topole,
Ówdzie się białe lilie błyszczą kwiatów wiązką;
Przez pustynię moczarów zapadłą i grząską
Idzie powoli stado półdzikie bawole.

Dzień był cichy, jak słońce. W powietrznej przestrzeni
Drzemały modre wzgórza; o nieba lazury
I o morze, co blaskiem kolorów się mieni:

Stoją świątyń oparte kolumny i mury,
Szare, nagie i smutne wśród bujnej zieleni
I połysków słonecznej złotawej purpury.

*) Zjawisko częste na morzu.

II.

Ruina. W dawnych bogów wstąpiłem świątynię
Zdruzgotaną przez wieki. Kolumn szereg głuchy,
Na posadzce mech, trawa, mleczów białe puchy — —
Cisza, zwykle w odwiecznej zaległa ruinie.

Bóg odszedł i zanurzył się w morskiej głębinie;
Uniósł trójząb*) i chwałę. Zaginęły słuchy,
Gdy z morza wstawał złoty wśród fal zawieruchy
I dziwił zadumane u krynic boginie.

U rydwanu mu cztery pędziły rumaki
Siekąc kopytem tafle zielone odmętu,
Rozwełnionemi grzywy skrzydlate, jak ptaki.

Morze grzmiało od kopyt srebrnego tętentu,
A w dali wodnych półbóstw płynęły orszaki
Marmurowemu boga napatrzeć się świętu.

*) Najpiękniejsza ze świątyń w Pestum jest świątynia Posejdona.

III.

Tu, gdy na morze zstąpił krąg księżyca blady
I gąszcze były pełne słowiczego dźwięku:
Na miękkiem mchów posłaniu i na kwiatów pęku
Mdlały pod piersią boga nimfy i najady.

Stąd syreny, ścigane przez faunów gromady
Zbiegały z pluskiem w morze, kiedy z konchą w ręku
Tryton, rozległem graniem wśród fal szklannych brzęku,
Z bezdeni ryb skrzydlatych wywabiał kaskady.

Teraz pusto. Gdy uchem wgrążyć się w tę ciszę,
Zda się, że dolatuje dzwonów pieśń ponura,
Co się w kopułach rzymskich daleko kołysze...

W otchłań czasu odpływa wieków ciemna chmura — —
Duch przemian zwolna wyrok za wyrokiem pisze
I jedna trwa li tylko niezmienna: natura.

Halucynacya.

W miesięcznej pełni srebrzystym fosforze,
Po nieskończonej wód ciemnych roztoczy,
Łódź z sennem wiosłem powoli się toczy
Wędrując kędyś samotna przez morze.

Na jej dnie, padłszy miękko, jak na łoże,
Naga, w księżyca mgławicy przezroczej,
Na wznak, milcząco z zamkniętemi oczy,
Leży kobieta. Łódź płynie w bezdroże...

Wtem z wody morskiej ciemnych, cichych głębi
Wielki, potworny kształt dźwiga się, dębi;
Wodnika cielsko oślizgłe, miedziane

Ku łodzi z nagą żeglarką podpływa
I wpija oczy w nią obłędne, szklane,
A ona leży senna, czy nieżywa...

Symbol.

Noc na wód cichem, bezbrzeżnem pustkowiu.
Przez nieruchome ciemnych chmur tumany
Na fale księżyc prześwieca miedziany
Wśród gwiazd, o blasku przygasłym ołowiu.

Wiatr świszcząc głucho, jak w gęstem sitowiu,
Pełza po wody powierzchni rozchwianej,
I, zda się, wlecze senne oceany
Ku nagich, skalnych wybrzeży wezgłowiu.

Na głębi głuchej, ciemnej i bezkresnej,
W mglistym księżyca blasku się kołysze
Krzyż — na nim Chrystus rozpięty bolesny.

Gdzieś w nieskończoność, w nieprzebraną ciszę,
W niezmierną pustkę płynie przez odmęty
Krzyż — na nim Chrystus bolesny rozpięty...

Pragnienie.

O zanurz się, o zatop bez pamięci
Myśli, targana żalem i zgryzotą,
W przedepokowej ziemi wizyę złotą,
W orkan traw, kwiatów, sitowia i pręci!

Olbrzymi powój niechaj cię okręci
Pod purpurową od kaktusów grotą;
Namiot potwornych paproci niech złoto
Słońca rozsrebrni i rozdyamenci!

O zanurz się, o zatop, smutna myśli,
W oślepiających, szalonych obrazach,
Które fantazya piórem z ognia kreśli.

W wysilających, dzikich giń ekstazach,
Aż przepalona płomieniem opętań,
Upadniesz w głuchą otchłań niepamiętań!

Mastodonty.

Burza drzew! Pniów przepaście, ocean konarów,
Huragan życia, wulkan wzrostu i rozwoju,
Kaskady złotych liści, fontanny powoju,
Huk kwiatów pękających od słońca pożarów.

Cicho — wtem wielkie płazy dźwignęły z moczarów
Potworne łby, złociste od złotych much roju;
Jeleń, co z kryształnego zbiegł napić się zdroju,
Stanął, nastawił uszy i pomknął przez parów.

Głuchy grzmot wybiegł z lasu dalekich zakątów,
Zadrżały drzewa, jako przed nadejściem tuczy —
Grzmot rośnie, cała ziemia dygota i huczy;

Błysnęło — to kły białe — — nakształt morskiej fali,
Co się wzburzona naprzód bez pamięci wali,
Wybiegło z głębi puszczy stado mastodontów.

Pierwotne zjawisko.

Potworne pierwotnego zjawisko chaosu!
Przez gąszcz traw i paproci, zawichrzone ljany,
Wykroty drzew olbrzymie, bagnisk oceany,
Zapadając w głąb liści opadniętych stosu,

Pędzi kobieta z płaszczem rozwianego włosu,
Cała siercią porosła; za nią, tocząc piany
Z kłów białych, krzyk wydając z piersi urywany,
Gna mężczyzna, podobny z kształtu do kolosu.

Nagle z drzew gigantycznych zgniłego złomiska
Skoczył goryl, pochwycił kobietę w ramiona
I przygniótł, chrapiąc dziko, pierś swą do jej łona.

Człowiek ryknął, owinął palce nakształt węży
W koło gardła goryla, w kark mu zęby wciska,
A ona — uwolniona — czeka, kto zwycięży?

Delfiny.

Woda. Słońce rzuca złote blaski
Na pogodny błękit biało-chmury,
Oceanu złociste lazury
I wysepek lśniąco żółte piaski.

Kormoranów szarych słychać wrzaski,
Morski orzeł krąży białopióry — —
Tam, w oddali błysły białe sznury
Nad szklistością wód i złote kaski.

Zaszumiało — szybko szum się zbliża,
Sznury mienią się w srebrzyste wstęgi — —
To delfinów płynie fala chyża.

Z nozdrzów wody tryskają im słupy,
Grzbiety lśnią się, jak złote skorupy,
A za niemi lecą wodne pręgi.

Wąż

Słońce roztapia błękit i ziemię rozlśniewa,
Złotem spłynęły rzeki, promienieją skały,
Palą się hyacenty, lilie spłomieniały,
Pachną kwiaty i wonią wybuchają drzewa.

Pod sennemi palmami legł Adam i Ewa:
Błyszczą w słońcu nagiemi, leniwemi ciały,
Światło pełza po Ewy skórze gładkiej, białéj,
Z liści się na nią złote, rozognione zlewa.

Adam patrzy i widzi to światło na włosach,
Na ustach jej, na oczach, na piersiach i łonie,
Widzi, jak między uda pieściwie się wkrada,

Widzi, jak Ewa leży bezwładna i blada,
Jak w tych oplotach światła omdlewa i płonie — —
I utonął w jej objęć otwartych niebiosach.

Nimfy.

Pod księżyca złotawym, zimnym seledynem,
W poblasku ciemno-mgliste morze bezwybrzeżne,
Mgieł lotnych pląsające stada złotopierzne,
I tygrysie gwiazd oczy na pustkowiu sinem.

Z krągłą puszystą czarą, z długim liści klinem,
Z głębin się wydobyły na fale bezmierzne
Ogromne jakieś kwiaty i żółtawo-śnieżne
Lśnią w księżycu swych liści zimnym pergaminem.

Blade, milczące nimfy głowę długoruną
Na liściach kwiatów kładą i w niebiosach oczy
Utkwiwszy, nieruchome leżą na wód fali —

A kędyś błyszczą chłodnym, twardym blaskiem stali
Oczy morskich potworów wśród wodnych roztoczy
I jak gwiazdy po ciemnej topieli się suną.

Widziadła okrętów.

Noc. W ciemnem niebie księżyc wielki, złoty.
Głuche powietrznej bezdeni pomrocze.
Milczące, ciemne morskich wód roztocze.
Niezmierna cisza pustki i martwoty.

Niezmierny spokój — — wtem z głębin ciemnoty
Blask jakiś blady w oddali migocze,
Światło posępne, martwe, nieprzezrocze
Błękitniejącej fosforu pozłoty.

Zbliża się, płynie — — dziw! smugami pnie się
Wzdłuż lin i masztów, obrzeża pokłady
Cieniom podobnej okrętów gromady.

Płyną powoli — i jak mgła w bezkresie,
Giną gdzieś w pustce milczących odmętów
Widziadła dawno przepadłych okrętów.

Pusty okręt.

Kędyś, kędy nikt się nie ośmieli
Z żywych płynąć na bezkresy morza,
U ścian skalnych stromego podnóża,
Stoi okręt na ciemnej topieli.

Pod blask słońca, jak szkielet się bieli:
Wicher rozniósł żagle na przestworza,
Nagie, sztywne sterczą maszty z łoża,
Nakształt suchych, olbrzymich piszczeli.

Zwolna, wieki, pogrąża się w bezdno
Ten trup-okręt wbity do cieśniny — —
Pustka śmierci — czasem tylko siny

Cień skał nagich na deski się kładzie
W noc miesięczną bladą i bezgwiezdną,
Lub krab pełza po pustym pokładzie.

Pusta wyspa.

Pusta wyspa: grunt nagi, skalisty,
Słońce żarem płomienia go pali;
Brzegi czerwień ukwieca korali,
W gruzach mętne błyszczą ametysty.

Wiatru smutne, przeciągłe poświsty
Pustką włóczą się z fali do fali;
Coś się w świście ich skarży i żali,
Gdy o kamień się otrą ognisty.

Nad krynice w kotlinach nieżywe
Tej oazy wyschłej morza, z głazów
Sterczą nagie drzew bezlistnych słupy.

Pusto — tylko olbrzymie skorupy
Jakichś martwych błyszczą w słońcu płazów,
Nieruchome, potworne, straszliwe.

Z nad morza.

O ciche, ciche morze!... Gdyby w twe odmęty
Można paść i znicestwieć w twoich wód ogromie...
Nie chciałbym istnieć więcej, nawet nieświadomie,
Gdy przejdę przeznaczeniem szlak życia wytknięty.

Poznanie krew zamienia w proch, piołun i męty,
Truciznę w każdym duszy zaszczepia atomie,
Nieprzyjaciel straszliwy, pełznący kryjomie,
Nigdy niewyczerpany i zawsze zawzięty.

Tam, w tych przepaściach wodnych przepaść jak
[żwir z brzegu,
Nic nie czuć, nic nie pragnąć, wszystko zrzucić z siebie,
Na zawsze się wymazać z ciał i dusz szeregu...

Tam — — nic nie chcę... Na wieki niechaj mię
[pogrzebie
Jakiś odmęt: niech zginę tak i znicestwieję,
Jak nicestwieją w życiu wiary i nadzieje...

Cisza morska.

—

Cisza morska. Zgłodniała, spragniona załoga
Bezradnie na straszliwy patrzy bezkres wody;
Przestano liczyć słońca zachody i wschody,
Na okręcie jest tylko rozpacz, ból i trwoga...

Na pokład weszła mara zagłady złowroga,
Szle dławiące pragnienia i płomienne głody;
Ciche, przeciągłe wieją śmierci trupie chłody,
A niebo nad wodami zda się być bez Boga.

Kapitan stał pod masztem, w ręce lont mu płonie— —
Na ciemnem dnie okrętu beczki z prochem stoją —
Jeden krok, jedną iskrę z lontu niech zaprószy — —

Czemuż stoisz tak blady? Czemu drżą ci dłonie?
Głupcy się tylko własną śmierć przyśpieszyć boją — —
Ha! Lont zadeptał... Giń więc w powolnej katuszy!...

Rozbitki.

Lękać się morza? W tej czarnej fali
Tak cicho, słodko będziemy spali,
Tak odpoczniemy po burzach — —
Nigdy patrycyusz rzymski z dziewczyną,
Wonne Falernu spijając wino,
Nie spoczął słodziej na różach.

Lękać się morza? Wszystko stracone,
Łódź nam strzaskały wichry szalone:
Mamyż na nagiej skale
Z rozpaczy kąsać własne swe ręce
I patrząc w niebo, w powolnej męce
Wyć, jak zgłodniałe szakale?

Żaden stąd okręt nas nie ocali,
Nie widać żagli na pustej fali,
Wszystko stracone — prócz woli!
Wszak każdy nóż ma i serce? Śmiało!
Czemu patrzycie z twarzą zbielałą?
Na Boga! Krótko zaboli!

Wiecznie samotni...

Wiecznie samotni!... Pośród tłumu ludzi,
Gdy serce nasze wstrząśnie ich sercami,
Gdy dusza nasza ich dusze obudzi
I tłum ten cały koło nas się tłoczy,
Dłoń wyciągając ku nam, wznosząc oczy:
Jesteśmy sami.

Wiecznie samotni!... Gdy w najbliższem kole
Twarze gorzkiemi zraszają się łzami,
Wspólne pragnienie zaświeci na czole,
Albo wybuchną ludzie szczerym śmiechem:
My, łzom i szczęściu wtórujący echem,
Jesteśmy sami.

Wiecznie samotni!... Nawet w takiej chwili,
Gdyśmy spleceni wzajem ramionami,
Z kobietą dusze i ciała złączyli,
Gdy z nią przeniknąć pragniemy się wzajem,
Jej serce bierzem i jej serce dajem:
Jesteśmy sami.

Wiecznie samotni, wiecznie szukający
Z wiecznej nadziei wiecznemi złudami,
Pełni tęsknoty gorzkiej i palącej
Błądzim po świecie, dziwne, obce cienie — —
Wreszcie, ostatnie wydając westchnienie,
Jesteśmy sami.

Zmartwychwstały.

Spokojność senna i milczenie,
W srebrnej melodyi księżycowej,
Na nieskończone szły przestrzenie,
Ciche na wzgórzach snując cienie
I zatapiając się w parowy.

Wysoko kędyś po gór zboczy
Księżyc złociste słał mgławice
Płynąc w otęczy mgieł przezroczej
I po odległej mórz roztoczy,
Wiódł tęskne, lśniące swe źrenice.

Świat w nocnem chylił się omdleniu
W zadumy sennej głuche tonie,
I tylko kwiaty w zwiewnem tchnieniu
Błyszczącym w nieba zamyśleniu
Dalekim gwiazdom słały wonie.

I była cisza i pustkowie
Dokoła grobu w ścianie skalnej.

Posnęli twardym snem stróżowie,
Wziąwszy swe tarcze za wezgłowie,
A grot dzirytów błyszczał stalny.

Wtem wieko z głazu wstecz opadło,
I na księżyca światło białe,
Z twarzą śmiertelnie wyszedł zbladłą
Chrystus, owity w prześcieradło,
I o grobową wsparł się skałę.

I jakby odchodziły owe
Moce, co Go zbudziły w grobie,
Pochylał zwolna na pierś głowę,
I siadł na wieko grobowcowe,
Czoło swe kryjąc w dłonie obie.

Na jego barki i na włosy
Padała jasność złotą smugą,
I kilka kropel świetlnej rosy
Rzuciły nań naskalne wrzosy...
Siedział i patrzał w pustkę długo.

Na ciemnem niebie gwiazdy zbladły,
A skraj się wschodu już zabiela,
On jeszcze siedział w sen zapadły — —
I na zroszoną ziemię padły
Dwie gorzkie łzy Odkupiciela.

Anioł Pański.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Zaduma polna, Osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone, śpiące gaje,
Cień, zasępienie od niej wieje,
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i w obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad ciemne dachy, kryte słomą —

Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą
I coraz szerzej idzie szerzej
I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonął ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swojem złem i bolem,
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swoje, swój ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą,
I swoje losy klnie straszliwe,
Z ogromną skargą i rozpaczą
Przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,

Gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
Nigdzie tu miejsca niema dla niej,
Niema spoczynku, ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
Łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

XIX wiekowi

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości...
Asnyk.

Naprzód! przez zawichrzone ludzkości przewały!
Naprzód! przez kolumn świata strzaskane zwaliska!
Naprzód poprzez przeklęte wojen bojowiska
I jasne cisze świętej pokojowej chwały!

Naprzód przez głód i przesyt, przez skarby i nędzę,
Naprzód przez śmierć i życie, rozkosz i męczeństwa,
Naprzód przez cały wielki wszechbyt człowieczeństwa!

Nie możem przestać istnieć — więc natężmy wolę
Los zwalczyć i szczęśliwszą wyrwać mu z szpon dolę!
Moc ducha przeciw ślepej fatalnej potędze!

Naprzód! Lepiej w gonitwie do słońca w proch ru-
[nąć,
Niż czołgać się po ziemi! Krwi swej wylać rzeki
W obronie pragnień życia: niżby przyszłe wieki
Epoce naszej miały w twarz z pogardą plunąć!

Z orlej wyżyny.

Z orlej wyżyny, gdy się spojrzy na dół
Widzi się nędzę, wir, klęskę i zbrodnię,
Jakiś piekielny wicher na świat zadął,
I świat pociemiał, błotnieje i chłodnie.

Jest jakąś gwiazdą błędną, bezcelową,
Jakimś chaosem sprzecznym, jakimś mętem;
Jakież mu świeci przewodnicze słowo?
Co mu jest wiarą? I co mu jest świętem?

Naprzód! ha, naprzód... Lecz dokąd? Gdzie droga?
Krew z krwią się zmaga, ból z bólem, gwałt z gwałtem,
Bożyszcz jest tyle, że zabrakło Boga,
I form jest tyle, że byt jest bezkształtem.

Naprzód, ha, naprzód! Ależ wszyscy gonią
To jedno hasło, nikt się zeń nie cofa —
Tylko wrzask wściekły jest hasła harmonią
I bagnet pryska o szczerby kilofa.

Naprzód! Ten bogacz, co ściga dukaty,
I ten robotnik, co grosz nędzny goni,
Te dwa odrębne, nienawistne światy,
Głos łączą w jednej i wspólnej harmonii.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Naprzód! Wszak wszyscy suniecie się społem,
Kłamstwo, że świat chce kto wstrzymać w poch
Wszyscyście naprzód obróceni czołem [dzie -
I wszyscy dążni — ku swych wrogów szkodzie.

Sami wrogowie... Kędy się obrócić,
Szczepy, narody, pokolenia, kasty:
Wszyscy gotowi się na siebie rzucić,
Jakby nie byli z Męża i Niewiasty.

Czyż jednych z wnętrza wyzionęła ziemia?
Drugich zrzuciło na tę ziemię słońce?
Innych wiatr rodzi? Innych grom rozplemia?
A innych morze wyziewa ryczące?

Sami wrogowie, zajadli, zaciekli:
Ząb za ząb, oko za oko, bój za bój;

Coś się w nich dławi zawiścią i wściekli,
Szaleją z pasyi, muszą iść na zabój!

Tak nienawidzą się, że wolą z wrogiem
Lec w trumnie raczej, niż żyć obok niego —
Przemoc ich wiarą, nienawiść ich bogiem —
I wszyscy oni naprzód! naprzód biegą...

Banda opryszków, co się wzajem pali,
Kradnie, morduje — — ci z góry, ci z dołu;
Jak stado głodem obłędnych szakali
Gryzą się, wyją i pędzą pospołu.

Dalej i dalej... I dokąd?... I po co?...
Z orlej wyżyny gdy się patrzy w górę,
Nad głową gwiazdy błękitne migocą,
Lub niebo w złotą stroi się purpurę.

Pochwała dawnej dzielności greckiej.

Memu bratu Włodzimierzowi.

STROFA I.

Młodzieńcze grecki, co silny i śmiały,
Jednegoś pragnął: nieśmiertelnej chwały;
Jedną miał dumę: piersią swą zastawić
Zagrożoną ojczyznę,
Ubogie wzgórza i pola nieżyzne
Od klęsk wybawić;
Ku twej, o mężny, sławie i pamięci,
Pieśń niech się moja dziś wzniesie i święci.

W bystre i zimne Eurotasu wody
Młodzieńców Sparty skakał zastęp młody,
Przez dzikie knieje, ostępy i haszcze,
Długokływego dzika
Ścigali; morze nawie Ateńczyka
Otwiera paszcze;
Tessalskich źrebców z wichrowemi grzywy
Dosiąść, tam żaden nie bywał leniwy.

STROFA II.

Naprzeciw Persów strasznej nawały
Lwem na bawołu, szedł hufiec mały.
Przeszli z Aresa krwawych wysieków
W podziw potomnych najdalszych wieków.
Pod Maratonem i Salaminą
Ci, co polegli w walce, nie giną,
Lecz drugiem życiem z martwych ocknięci,
Wiek na wiek walą w ludzkiej pamięci.

Trzystu Spartanów w Termopil jarze,
Bogom z czar wino wylało w darze.
Kserksesa milion gdy w nich uderzy:
Milion od trzystu pierzchnął puklerzy.
Zdradą zwalczeni, legli nareście.
Brzmiał krzyk tryumfu po całem mieście,
Bo ni jednego z nich nie ujrzano,
By krwawił raną w plecy zadaną.

STROFA III.

Delfy, gdy wrogów tłumem oblężone,
Dwóch bohaterów daje im obronę,
Jak wilków stado płoszące dwa tury;
W Sparcie piersi mieszkańców
Miast bram obronnych były i miast szańców;
W Hades ponury
Epaminondas gdy szedł: to mu starczy,
Że wróg nie uniósł z pola jego tarczy.

Pindar efebów idących w zawody
Przez wiecznotrwałe upamiętnił ody;
Jak potok deszczem spiętrzony nad brzegi,
Co z gór się stromych pieni:
On się, ogromny, stacza ku bezdeni.*)
Wieków szeregi
Idą — — tak niegdyś czyny czczono dzielne,
Czyn wzajem pieśni budził nieśmiertelne.

---

*) Podług ody Horacego do Antoniusa.

Oda jowialna.

Jak na górach południa, zaledwie śnieg znika,
Wykwita macierzanka i różyczka dzika,
A dzwonek się przy ziemi
Listeczkami uśmiecha fioletowemi;

I amarant się puszcza i wiąz pachnie młody
I czerwienią się w trawie zielonej jagody,
A pasterz, pędząc kozy,
Żółtemi jaskry widzi zdobione wąwozy:

Tak, młodzieńcze! i tobie zakwitnie zielono
Dusza i skroń czuć będziesz kwiatem umajoną.
Gdy — o szczęsny poranku! —
Ostatni wypłacony weksel wyjmiesz z banku.

Oda przestrożna.

Thadaeo.

Studyuj, mi care, pilnie naukę, z której
Nieśmiertelną cześć niegdyś Hipokrat zyskał,
Poznaj ciała ludzkiego wszelkie tajniki,
Abyś,

Jeślić kiedy postawi los wprost kobiety,
Której urok ci duszę młodą opęta:
Poznał zawczasu, czyli ma ona w łonie
Serce?

Tak, gdy podróżny w górach pnie się na krawędź,
Kędy wiatr się przetacza, jak nurt kaskady:
Niech wie, czy za krawędzią ścieżkę, czy przepaść
Znajdzie?

Nieczas bowiem zawracać, gdy bezdeń ciemna
Myśli w głowie pomiesza i rwie ku sobie,
I śpi wysokie niebo, kiedy niebaczny
Runie.

P t a k i.

(Bajka).

Pewnego razu, stąd coś niedaleko,
Stado żórawi, zmęczone długą
Wśród chmur żeglugą,
Przysiadło sobie nad rzeką.
Wnet wszystkie kawki i wrony,
Sroki, gawrony,
Dudki, wróble i czyżyki,
Gęsi, indyki,
Kapłony, sikory, trznadle
Zbiegły się ogromną zgrają
I jęły wrzeszczeć zajadle:
»A włóczęgi, świszczypały,
Do roboty nic nie mają,
Tylko latać przez dzień cały!
Miejsca nigdzie nie zagrzeją,
Raz tu, jutro znów za morzem —
Włóczą się, gdzie ich nie sieją,
Gdy my spokojnie siedzieć w miejscu możem...

Im się chce latać po niebie,
Gdy każdy ptak porządny,
Normalny i rozsądny,
W spokoju ducha po śmietnikach grzebie.
Dlaczego nam: kapłonom,
Gawronom, wronom,
Dudkom, kurom i czyżykom,
Gęsiom, srokom i indykom,
Nie zachciewa się chmur, ani słońca,
Ani pustyni bez końca,
Ani żadnych mórz bezdennych,
Ani żadnych ziem promiennych?
Wstyd ptakom, myślącym seryo,
Przynosi ta żórawia wędrowna hałastra,
Ze swoją podobłoczną pustą faneberyą
I swą bezprocentową dewizą: ad astra!
Jakby tu, nizko, przy ziemi,
Nie mogły siedzieć z ptakami innemi,
I jakby nie dla wszystkich ptaków na tym świecie
Były zarówno śmietniki i śmiecie!
Wtem podniosły się z szumem żórawie pod chmury
I rozkrzyczanej czeredzie szanownej
Posłały respons wymowny — —
Wprost na łby z góry.

II.

DLA RYMU





I.

Kocham cię, światło! Na moje źrenice
Zlewasz się falą: nurzam się w niej, tonę,
Oczy ku tobie wznoszę roztęsknione,
Na twej jasności promienną mgławicę.

Kocham cię, jasna! Patrzę na twe lice,
Oczu szafiry rzęsą ozłocone,
Na krasę twoich ust — patrzę i płonę,
Tem więcej pragnąc, im więcej się sycę...

Kiedy mię światło falą opromienia,
Zda mi się, czuję twoje uściśnienia,
A gdy w ramiona, ciebie, jasna, chwytam:

Całą mi światła płonie świat ozdobą,
I sam już nie wiem i sam siebie pytam:
Czyś ty jest światłem? Czy światło jest tobą?

II.

Pójdziemy razem na gięte przełęcze
Obłękitnionych gór nad morską tonią;
Pójdziemy słuchać, jak w oddali dzwonią
Fale, od skał się rozbryzgując w tęcze.

Pójdziemy patrzeć, jak się na pajęcze,
Lotne mgieł łodzie blaski słońca kłonią
I za okrętów białym żaglem gonią
Za ciemne morskich rubieży obręcze.

Pójdziemy patrzeć, kędy wśród lazuru
Marzącej wody, Capri się promieni
Błyszczącą ścianą skalistego muru...

Serca nam usną, a dusze zatoną
W jakiejś niezmiernej, świetlanej przestrzeni,
W słonecznych omdleń ciszę nieskończoną...

III.

A kiedy będziesz moją żoną,
Umiłowaną, poślubioną,
Wówczas się ogród nam otworzy,
Ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
Pachnąć nam będą winogrady,
I róże śliczne i powoje
Całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy wolno alejami,
Pomiędzy drzewa, cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
Narcyzy piąć się srebrną grzędą,
I padnie biały kwiat lipowy
Na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów,
Niezapominek i bławatów,
Ustroję ciebie w paproć młodą
I świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
Kędy drzwi miłość nam otworzy.

IV.

Dusze błękitne, ciche, zamyślone
Przez sfer milczące, skrysztalone tonie,
Lotne, jak blaski, powiewne jak wonie,
Idą błękitne, ciche, zamyślone —

Dusze błękitne, ciche, zamyślone,
Gdy śnieg w miesięcznym seledynie płonie
I góry błyszczą w szafirów oponie,
Idą błękitne, ciche, zamyślone —

Idą błękitne, ciche, zamyślone,
Jak przez wikliny ponadbrzeżne wiotkie
Światła słoneczne z wody, jasne, słodkie,

Jak z dali fletów dwa dźwięki pastusze:
Ku sobie nasze rozkochane dusze
Idą błękitne, ciche, zamyślone.

V.

Widzę kraj jakiś w oddali, w oddali,
Kraj z mgły przejrzystej, z rozkołysań sosny,
Z letnich południ i z porannej wiosny,
Z cisz szmaragdowych na łąk ciemnej fali,

Z blasków, gdy słońce morze rozopali,
Z majowych nocy zadumy miłosnej,
Z drgnień dzwonków polnych, z rozmowy półgłosnej
Limb zamyślonych wśród milczącej hali...

Widzę kraj taki jak przez modro-złotą
Gazę, co wiesza się na młodym gaju,
Drżąca i cicha, pajęcza i zwiewna...

To kraj twej duszy, z tego ona kraju,
Obłękitniona mych marzeń tęsknotą,
Spłynęła ku mnie, promienna i śpiewna...

III

ALBUM LIRYCZNE

Moim przyjaciołom.





Muszla.

Niewielka, stara muszla na mym stole leży,
Jest to jeden z mych skarbów, choć warta tak mało;
Nie wiem, z jakiego morza pochodzi wybrzeży,
Ni jak dawno jej morze szumieć już przestało.

Odkąd siebie — i muszlę tę pamiętam starą,
I dziś, ilekroć tylko spojrzę na nią razy:
Owiane jakąś smętną, głęboką mgłą szarą,
Stają mi przed oczyma dawnych lat obrazy.

Ale najlepiej lubię, przymknąwszy powieki
Przyłożyć ją do ucha i słuchać jak szumi:
Wtenczas całą mą duszą wracam w świat daleki,
W toń wspomnień, które życie zaciera i tłumi.

Przypominają mi się pola i ogrody,
Dom pośród ciemnych świerków i różanych krzewów,
Pastwiska i wikliny, bystre górskie wody,
Jasność kamyków na dnie, albo męt wylewów.

Przypominają mi się tajemnicze mroki
Wśród szpalerów wieczorem, gdym pełen obawy,
Szedł, słysząc czyjeś szepty, słysząc jakieś kroki,
Ciche, lotne, zaledwo tykające trawy.

Przypominają mi się dziwne baśnie, dziwy,
Które mi szły z gór ciemnych przez lasy i łany,
I groza, kiedy wichry rozpuściwszy grzywy,
Wiozły z nich chmury gradu, lub śniegu tumany.

Przypominają mi się me pierwsze marzenia:
Amerykańskie bory i dzicy Indyanie,
Bezludne wyspy, pełne palmowego cienia,
Lwy w sitowiach i śmieszne małpy na platanie.

Przypominają mi się te białe okręty,
Płynące w wyobraźni gdzieś morską bezdenią;
Błękitna, straszna cisza, albo burzą wzdęty
Ocean, gdy się fale pod obłoki pienią.

Przypominają mi się pierwsze uczuć świty,
Pierwsze miłości moje z bajek Andersena;
Pierwszy ten nieświadomy pociąg do kobiéty,
Która nęci, jak w falach niewidna syrena.

Pierwszą moją miłością była świtezianka
Zakochana w młodzieńcu pięknym z okolicy,

Co, by zawsze być blizko swojego kochanka,
Stratą głosu kształt ziemski kupiła kobiécy.

I ta mała dziewczynka wśród śniegów i lodu,
Na stepie renifery karmiąca rogate,
Co miała wał śniegowy za mur do ogrodu,
W nim lodowe zarośla i lodową chatę.

Inna, kędyś łabędzi powieziona parą,
Nie wzięła nic ze sobą, tylko piosnkę rzewną:
Spotkała w lesie smoka, czarownicę starą,
I wróżka ją cudowna zrobiła królewną.

Tym wszystkim wyobraźni kochankom dziecinnej
Dawałem duże, jasno-szafirowe oczy,
Białe ciało o linii falistej i płynnej,
Blond włosy i głos pełen melodyi uroczej.

Jeszcze słyszę, jak mówią, jak dźwięczą nademną
Kryształem tego głosu, co o srebro trąca —
Spotkałem głos ten później — i dziś nocą ciemną
Zda mi się, że na szybie zabrzmiał w łzach miesiąca.

Zdaje mi się, że głos ten sam do mnie przylata
Powiedzieć mi te słowa, które słyszeć miałem — —
Zabrzmiał i jak jaskółka odbiega skrzydlata,
I martwy blask po oknie pełznie oniemiałem...

Zdawało mi się niegdyś — i któż z nas tak nie śni? —
Zdawało mi się niegdyś, żem szedł w toń różaną;
Człowiek się ze snów budzi, tem lepiej im wcześniej
I taki sam zostaje — z jedną tylko zmianą.

Dusza jego na pozór zostanie jednaka,
Jak kwiat, stuliwszy liście, znowu je roztula,
Tylko będzie jak skrzydło postrzelone ptaka:
Wygoiło się wprawdzie, ale tkwi w niem kula.

Więc niema już ptak taki odwagi do lotu,
A jeśli to był żóraw, przeraża go morze;
Lęka cię ciemnych głębi głuchego łoskotu
I długiej nad niezmierne wędrówki bezdroże...

Zdawało mi się niegdyś... Dziś, kiedy do ucha
Przytknę tę starą muszlę: gdzieś w dalekie kraje
Wiedzie mnie, kędy pustka rozciąga się głucha
I gdzie nigdy od wschodu słońce nie powstaje.

Błąkam się kędyś w lasach i puszczach dziewiczych,
W jakichś górach przepastnych, w jakichś pieczar
[sklepach,
Po jakichś zadumanych wodach tajemniczych,
Niezmierzonych jeziorach, bezgranicznych stepach.

Jakie tam dziwne świecą na niebie księżyce — —
Po kilka naraz, błyszczą nad ziemią tak nizko,

Odbijają się w wodzie i w srebrne źrenice
Obejmują milczących pustek uroczysko.

Rosną tam dziwne drzewa, jodły tak olbrzymie,
Że sięgają gór wierzchów, a niebo nad niemi
W wilgotnych, szarych mgławic falującym dymie,
Jakby martwe zamarłej przygląda się ziemi.

Tam nic niema.... pustynia, stepy, góry, morze...
I duszy mojej smętna, zadumana mara;
Patrzę w koło i nieraz sam w sobie się trwożę —
Gdzie jestem?!... To mi szepce moja muszla stara.

Jest-li to ten świat dawny, który przed milionem
Wieków ona pamięta? Są to urojenia
Obłąkanej fantazyi, co w oku szalonem
Ma jakieś dziwne, nigdy niebyłe widzenia?...

Tam jednak w tej pustyni, tam jest mi najlepiej,
Tam dusza moja siada na omglonym głazie
I gdy się cała w sobie skupi i zasklepi:
Tonie w ogromnych milczeń i głębin ekstazie.

Lubię tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy,
W abstrakcyjnem pojęciu żywego bezbytu,
Gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy,
Gdzie w duszy ma się wieczność, ziemię, sklep błękitu.

Lubię patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
W świat, co się niezmierzony sam w człowieku stwarza,
Tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
Świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmentarza.

Ale najlepiej lubię, gdy szumiąca głucho
Stara muszla mię wiedzie w wspomnień kraj daleki;
Szumi mi, jak me serce — — gdy doń przytknę ucho,
Słyszę, jak smutno szepce: na wieki, na wieki...

Złudzenie wodne.

Patrzę na wodę rozlaną błękitnie,
Czy z niej rusałka jaka nie wykwitnie?
Czy na niezmiernej błękitnej bezbrzeży
Pod słońce białą piersią nie zaśnieży?
Czekam na cud...

Lecz oto z głębin wodnych się dobywa
Głowa topielca ruda i straszliwa
I oczu na mnie zwraca bielma szklane
I z warg obrzękłych toczy ślizgą pianę
Wśród modrych wód.

Morze.

Spokojne, nieskończone morze — —
Wiatr je w faliste smugi orze,
Z poza skrzesanej prosto skały
Na słońce pędzi żagiel biały
I z za bezkresu wodnej toni
Białych obłoków stada goni
I ku mnie po tym wód bezkresie,
Prócz zapomnienia, wszystko niesie.

W Salerneńskiej zatoce.

Gdyby to morze tam na dole nizko
I ta w słonecznych chmurach skał korona,
Mogły dla duszy być wieczną kołyską...

Gdyby tam, wolna od złowrogich przeczuć,
Od gorzkich smutków na wieki zwolniona,
Mogła niepragnąć, niepamiętać, nieczuć...

Gdyby tu mogła, w tem błękitnem niebie
I w tem błękitnem morzu roztopiona,
Zapomnieć ziemi i odnaleźć siebie...

O góry, niebo, o morze bezkresne!
Weźcie ją w swoje błękitne ramiona
Jak dziecko w pustce błędne i bolesne...

Dziecinne westchnienie.

Na niebie wielka pełnia złota,
Błyskają ciche błyskawice;
Na morzu złoty blask migota
I w lśniącą szerzy się ławicę.

W krąg światło, blaski — — Boże, Boże!
Lampęś zawiesił na błękicie,
Tak cudnie złocisz świat i morze,
Gdybyś tak złocił nasze życie...

Na via Caracciolo.

Spokojnie szumi i łagodnie
Uśpione morze. Noc nadchodzi.
Zdala czerwono, jak pochodnie,
Kagańce lśnią rybackich łodzi.

Księżyc ze srebrnem wyszedł licem
I sieje blask na góry strome;
Cyprysy srebrzą się księżycem
I palmy stoją nieruchome.

Senna na piersi spada głowa
I marzeń się owija tęczą,
Mgławicą zadum się osnowa
I swoją przeszłość śni młodzieńczą.

I zapomina, że na czole
Stanął jej w boju los zwycięzki;
Traci z pamięci swoją dolę,
Porywy swoje — i swe klęski...

Pielgrzym.*)

Gdziekolwiek zwrócę wzrok, wszędzie mi jedno — —
Na północ pójdę, czyli na południe:
Wszędzie napotkam cień od spieki słońca
I znajdę studnię.

Wszędzie nad głowę znajdę dach wśród nocy
I wszędzie mogę za grosz kupić chleba,
I nawet nie wiem, czego ludziom w życiu
Więcej potrzeba?...

*) Wiersz ten przez kolegę mego, Antoniego Langego, przedstawiony został publicznie jako moje »wyznanie wiary«; stało się to niewątpliwie wskutek zbyt pospiesznego pisania recenzyi.

Mewy.

Te nad morzem obłąkane mewy
Zdają mi się, jak myśli człowieka,
Których w całem ludzkiem wielkiem życiu
Nic nie wzywa, ani nic nie czeka...

Trącona struna.

Z głębi jeziora do księżyca
Płynie melodya srebrnolica...

W głębinie lasu wśród paproci
Szmer się w księżyca blasku złoci...

Zwełnione grzywy morskiej piany
Niosą w księżycu szum świetlany...

Wśród róż nadwodnych woni świeżej
Piękna dziewczyna naga leży...

Księżyc we włosach jej migota,
Jej ciało jest jak harfa złota...

Róże się słonią w mgłę przegonną,
Jej włosy dźwięczą pieśnią wonną...

Na pamiątkę.

Jeżeli duchy mają żywot wieczny,
Jeżeli wieczne przechodzą przemiany,
To ziemia dla nich jest tragedyą bytu:
Żywotów jakichś marzą blask słoneczny
I chcą dla siebie czegoś z za błękitu —
I na nędz swoich patrzą krwawe rany.

* * *

Jeżeli kiedy choć godzinę jedną
Jak gdyby cichem dalekiem ustroniem
Było ci serce czyje; jeśli chwilę
Spokój i ulgę w niem miałaś bezwiedną:
To już to serce zasłużyło tyle,
Ażeby więcej nie zapomnieć o niem.

* * *

Jedno jest tylko zbawienie na ziemi:
Zatłumić w sobie dzikie ludzkie zwierzę,

Za ideami lecieć słonecznemi
I zgłuszyć serca krzyk w wielkiej ofierze
I zapomniawszy swojej doli własnej,
Niedolom cudzym być jak anioł jasny.

Śpiąca królewna.

(Elegia romantyczna).

Zasnęła... Z marzeń wygnano ją światów,
W duszy jej struny pozrywano śpiewne,
I przemieniła się królewna kwiatów
W śpiącą królewnę.

Dziś już nie pragnie być ludziom jak wiosna
Promieniejąca, świetlista i wonna,
Ani błękitnieć ziemi jak litosna
Pragnie Madonna.

Dziś już nie pójdzie stawać ponad rzeką
I puszczać oczu na fal tonie szmerne,
Aniby chciała lecieć gdzieś daleko
W cisze niezmierne.

Dziś nie wyciąga już ramion spragniona,
W jakiś się uścisk chyląca omdlale;
Z rumieńcem wstydu na wezbrane łona
Nie patrzy fale.

Ani dziś dba już, czy jej oczy wzruszą,
Czy uśmiech czyje rozkołysze myśli,
Ni czy są ludzie, co całą swą duszą
Przy niej zawiśli?...

Kwiaty jej marzeń powiędły wśród ludzi,
Umilkła duszy jej muzyka śpiewna — —
Nigdy już, nigdy więcej się nie zbudzi
Śpiąca królewna.

Rycerz.

(Ballada romantyczna).

Jedzie, jedzie rycerz z dali,
Młody rycerz w lśniącej stali,
A po hełmie laur mu pnie się,
Dank i chwałę z pola niesie.

Jedzie, pyta: co się dzieje?
W domu niebył czas niemały — —
»Rozpoczęły się turnieje,
Męże idą szukać chwały.

Wstali starsi, młodsi wstają,
W szranki idą całą zgrają,
Idą w szranki z piersią wrzącą,
Laury twoje sen im mącą.

Idą w szranki całą zgrają,
Laury twoje sen im mącą,
Ciebie tylko tam czekają,
Hej rycerzu z zbroją lśniącą«.

Jedzie, jedzie rycerz z dali,
Młody rycerz w lśniącej stali;
Czerpiąc siłę z krwi i bolu,
Dank i chwałę zdobył w polu.

Jedzie, wieje z hełmu kitą,
Orle skrzydła świecą w godle,
Chrzęści zbroja, grzmi kopyto,
Lecz się rycerz chwieje w siodle.

Stanął, szepce: »Przyjacielu,
Zawodników widzę wielu,
Niby z sobą walczą kopią,
Ale we mnie oczy topią.

Ze mną, ze mną to na próbę
Wyjechali tam do słupa
I te drzewce wzięli grube — —
A ja wiozę w sobie trupa.

Upiór patrzy w moje oczy,
Świat mi cały kirem mroczy,
Zimne ręce na mnie wkłada,
Wyje za mną: biada! biada!

Co mi moc ma, chwała warta,
Cóż, choć imię niesie grozę — —

Na ramionach moich czarta,
W ciele mojem trupa wiozę.

Lecz na Boga! Zanim runę,
Jeszcze skrzeszę mieczem łunę,
Jeszcze laury zerwę świeże
Choćby na grób!... W bój, rycerze!...«

Psyche.

Psyche tajemna, smętna, zamyślona,
Wyciąga ku mnie dziewicze ramiona
I twarz nademną pochyliwszy białą,
Duchowi memu każe rzucać ciało
I z własnych żądz mych i pragnień pogrzebu,
Z mogiły szałów mych i namiętności,
Ku mistycznemu podnosi mię niebu,
Jakbym już duchem odstawał od kości.

Młodości mojej purpury i łuny
W dym się zmieniają i w ciemne całuny...
Niejedno myśli wybujałe kwiecie
Wiatr po rozłogach i topielach miecie...
Niejedna chęć ma, ach! niejedna prysła,
Jak bańka szklanna, gdy na głaz upadnie;
Niejedna gwiazda nademną rozbłysła,
W głuchych odmętach leży zgasła na dnie...

Ileż wiar moich i obłędów ile
We wspomnień żywej spoczywa mogile...

Wielkie kościoły, kędym klękał wprzódy,
Kłamstw okazały się pełne i złudy...
Pustynia ruin wokoło się piętrzy,
Strzaskanych kolumn leżą całe zwały —
Posągi bogów o twarzy najświętszej,
Strącone z podstaw, w proch poupadały.

Jak czynią ludzie wielką trwogą zdjęci,
Zło myśli chciałem pogrześć w niepamięci,
Lecz ono było, jako wąż pod liśćmi —
I nie wiedziałem w końcu, dokąd iść mi,
W jakiej się ukryć niedostępnej twierdzy
Pod własnej myśli pościgiem zażartym?
Gdzie obmyć ducha ze śniedzi i ze rdzy,
By Blask odświetlał i był Blasku wartym?

W bezdni upadku, w porywów bezkresie,
Byłem jak okręt, który burza niesie:
Jedna pod chmury wyrzuca go fala,
Druga w przepastną toń odmętów zwala...
Czegom nie odczuł?!... Każdy atom duszy
Przez piekło swoje szedł, boleścią siny —
I czułem w końcu, że się duch już kruszy
I że nic nie mam dla życia — prócz śliny...

Aż niewzywana i niespodziewanie
Biała i czysta Psyche przy mnie stanie

I takie światy mi nowe ujawni,
Jakich śnić nawet nie zdołałbym dawniej;
Światy, gdzie wchodzić tylko ci są zdolni,
Co poświęcili swoje zmysły Myśli,
Których duch z ciała się więzów uwolni,
Choć jeszcze odeń są śmiercią zawiśli.

Jeśli przez moich namiętności zgliszcze,
Zbrudzoną duszę przelśnię i oczyszczę;
Jeśli człowieka w duchu moim zgniotę
I ducha zmienię w wszechwładną istotę:
Królestwa swego mistyczne wrzeciądze
Naoścież wówczas otworzy mi Psyche,
I wejdę w jasność, jak dziś w mroku błądzę,
I ze skał grzmiących wejdę w łąki ciche.

W owej tajemnej, głębokiej wyżynie
Duch mój się w duchu wszechświata rozpłynie,
A razem w siebie jego bezmiar wchłonie,
Jak jedną tworzą toń dwie zlane tonie.
W ów świat podniósłszy się raz i wstąpiwszy,
Wzgardę czuć będę, kędy dziś się trwożę,
I mrąc dla siebie, sobie będę żywszy,
I gasząc płomień, będę patrzył w zorzę.

I mieć tam będę tryumf wyzwolenia
Ducha z pęt żądzy, co go opierścienia;

Tryumf najwyższy, kiedy mi poddanem
Będzie, co wprzódy było moim panem;
Gdy ludzkie szały, jak sokół w kapturze,
Nie będą śmiały zrywać się do lotu,
I wszystkie zmysłów i umysłu burze,
Jak dym rozwiany, znikną bez powrotu.

I blizkim będę wyczuć i zrozumień,
Jakim się biegiem toczy życia strumień;
W jakie niebiosa z bagien i topielisk,
Dźwiga się bytu olbrzymi obelisk?
I wiem, że wówczas będę mógł w wszechświecie
Znaleźć harmonię pełną i porządek,
I ze spokojem patrzeć, jak się plecie
Nić na wrzecionie czas mierzących Prządek.

Bo po nad wszystkie i nowe i stare,
Znajdę tam głębszą: rezygnacyi wiarę;
Wiarę poddania się najwyższej Woli,
Co się nad wszystkie inne aureoli,
Skąd wszystkie inne biorą swój początek
I moc pozorną, naprawdę bezwładną;
Gdzie wrócić muszą, podobne do łątek,
Co z wody wyszły i w wodę upadną.

Jeszcze czas nie jest, lecz mi Psyche biała
Na oczach duszy wiecznie będzie stała

I owa w dali, jak fata morgana,
Kraina ducha przez nią pokazana,
Już zapomnienia mgłą się nie powlecze
I zapalone mam gwiazdy przewodnie:
Zwyciężyć w duchu, co w nim jest człowiecze,
I patrzeć śmierci w twarz wprost i pogodnie.

Grób poety.

(Ignoto mortuo).

Oto jest grób poety... W nieświęconej ziemi
I nie pod krzyżem leży... Na płycie grobowej
Niema kwiatów... Nikt żadnej nie powiedział mowy,
Wszyscy stali dokoła zmieszani i niemi
I odeszli czem prędzej, gdy grób zasypano —
Został sam w ziemi z czarną, spiekłą w piersiach raną.

Jak cicho teraz leży i w jakim spokoju
Ten, co wprzódy nie zaznał nic, prócz trosk i znoju,
Prócz upokorzeń, wzgardy dla samego siebie,
Gdy musiał żyć o ledwie nie żebranym chlebie,
Lub — a myśl sama o tem barwę z twarzy zdziera—
Starać się zostać błaznem pana, lub bankiera.

Leży cicho... Już więcej nie przyjdzie ta jędza
Z szczękami trupiej głowy, co się zowie nędza,
Już nie przyjdzie i marzeń mu więcej nie starga...
Leży cicho... Ostatnia wielka, straszna skarga

Wyszła mu z ust wraz z jękiem, gdy drżący i blady
Pocisnął cyngiel — padł strzał — zbiegły się sąsiady,
Drzwi otwarli, a widząc trupa na podłodze,
Cofali się ze wstrętem i żegnali w trwodze.

A tymczasem świetlana, z skrzydłami złotemi,
Odchodziła poety dusza precz od ziemi
I podniosła się zwolna i kędyś w przestrzenie
Wracała, skąd przychodzi na ziemię natchnienie...
Wzdymaj się srebrnomodre nieskończone morze!
Wzdymaj się! Ty mu zahucz, jak tryumfu dzwony!
Wzdymaj się, ty potęgo ogromna i dzika,
Elemencie królewski i nieuskromiony!
Wzdymaj się! Gdy raz zerwał z szyi swej obrożę,
Jego zwycięzkiej śmierci to godna muzyka!...
Pieśń tryumfu mu zahucz! Oto już nic zgoła
Wolnej, skrzydlatej duszy krępować nie zdoła...
W przestworzu od gwiazd skrzących i komet ognistem
Lecieć będzie z błyskawic trzaskiem i prześwistem...
Ile wysp złotych w słońcu, pieczar skrytych w bluszcze,
Kwiatów, co wybuchają lawą z ziemi Wschodu;
Gdzie jakich skał granity i gdzie jakie puszcze,
Wszystkie zorze na toniach spiętrzonych od lodu,
Wszystkich wulkanów ognie: wszystko, wszystko [dla niej!
Wszystko! Niema granicy, kresu i przystani...
Wolna, jak mgła powietrzna na niezmiernem niebie,

Lecieć będzie i wszystko, co niegdyś kochała,
Ciszę, światło i przestrzeń, wszystko mieć dla siebie,
Wydarta, wyzwolona z wstrętnych więzów ciała!

Oto przepastne wody tumanem się wznoszą
I wirem zakręcone piętrzą się w niebiosy — —
Ha! z jakiemż upojeniem i z jaką rozkoszą,
Uchwyciwszy się wichrów płomiennych za włosy,
Leci, topi się w głębiach, jako sokół w chmurze,
Opada w dół i znów się porywa do góry,
Aż wreszcie, rozszalała, jak gryf złotopióry,
Z mórz na morza przelata, ściga grzmiące burze,
I kędyś, gdzie się szafir sennych wód kryształi,
Rzuci się odpoczywać na srebrzystej fali...

Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się, pieśń radości mu szum, pieśń wesela!
Oto już ognia marzeń nic mu nie spopiela,
Nic kaskad jego natchnień tamować nie może...
Oto już owe kształty, owe światła, tony,
Co były jego duszą, jego krwią serdeczną,
Nie będą, jako obłok wichrem rozpędzony,
Pierzchać przed strasznem widmem życiowej niedoli—
Oto już wszedł w tę ciszę i spokojność wieczną,
Gdzie nic więcej nie łamie, nic więcej nie boli.
Minęły już te noce, gdy przedziwne cienie
Nad jego młodą głową splatały się w wieńce

I prosiły, składając jak do modłów ręce:
Oto nas twe do ciebie przysłało natchnienie,
Chcemy na świat! Patrz, jakie piękne i tęczowe,
Daj nam, jak gwiazdom jasnym, nad twem czołem
[błysnąć,
Daj nam ciało, daj duszę... A on ściskał głowę,
Co pękała w gorączce i pytał sam siebie:
Co jutro? Lecz co jutro? Czy z okna się cisnąć?
Czy żyć dalej o ledwie nie żebranym chlebie?
Dalej walczyć z tym losem, co kościaną ręką
Pochwyciwszy za gardło, pierś gniecie kolanem,
I jak upiór się poić zda ofiary męką,
Unicestwioną siłą i życiem złamanem?
Dalej za nędznej strawy kęs uginać karku,
Zapierać się swej duszy, pragnień, woli, wiary,
Myśl swą, krew swą przemieniać w towar na jar-
[marku,
Szukać kupca i ducha przykrawać do miary?
Dalej z niebowstępnego cisz i wyżyn lotu
Opadać ku ziemskiemu gwarowi i błotu,
Gardząc własną słabością i dolą ofiary?

Niech mogiłę samotną w nieświęconej ziemi
Tłum prawowierny mija z obawą i wstrętem:
Kto się życia rękoma pozbawia własnemi,
Tego duch potępiony, imię jest przeklętem.
Mówią, że czasem sokół, zamknięty do klatki

Próbuje stargać druty, aż gdy skrzydła skrwawi,
Pierś porani i siły wyczerpie ostatki:
Oszalały, z rozpaczy głodem się zamarza...
Ludzie spokojni, trzeźwi, rozsądni i prawi,
Unikajcie głuchego wyklętych cmentarza.

Złoty ptak.

Pamięci . . . .

Rwij pęta, wichrze halny! W chmur kurzu i dymie
Rozpostrzej na sklep nieba swe skrzydła olbrzymie!
Rwij pęta wichrze halny! Skrusz ziemi fundament,
Wydrzej ją z wiecznej drogi i szalonym rzutem
Ciśnij ją w wir żywiołów, w pęd mgławic i zamęt,
Choćby z mózgiem strzaskanym i sercem wyprutem!
Rwij pęta wichrze halny! Łam twarde granity,
Gruchocz w pył śmigłe lasy, piętrz siklawy w górę,
Wzdymaj się! Aż pod nieba samego sklep wzbity,
W gryfi szpon chwycisz słońce wielkie i ponure,
I wiecznego obrotu druzgocąc mu osie,
Pogrążysz je w skłębionych odmętów chaosie!...

Patrz! Jakiś ptak potężny ponad bór wylata,
Roztoczył złote pióra na śniegu kurzawę —
Patrz, jaka barwa skrzydeł świetna i bogata,
Tylko piersi ma krwawe, krwią dymiącą krwawe...
On na dół nie spogląda — coraz wyżej leci,

Zawisł w śniegowej chmurze, zawisł nad chmurami,
Już kędyś blizko słońca złotem skrzydłem świeci,
A krew cieknie mu z piersi i tu ziemię plami...
On na dół nie spogląda; dumny i zuchwały
Wzbija się coraz wyżej, snadź uciec od ziemi
I przepaść pragnie kędyś pośród chmur nawały,
I tylko zdala błyszczy skrzydłami złotemi...
A krople krwi, co cieką z jego piersi rannej,
Padają, przeraźliwy deszcz i nieustanny...

O jasne mórz lazury, o wy srebrnopiane
Fale, słodką muzyką wiatru kołysane;
O wyspy i wybrzeża pełne kwietnych zacisz,
Pełne gajów oliwnych i różanych szmerów;
O słońce, co świat życiem przebujnem bogacisz,
Zielenią strojąc ściany wygasłych kraterów;
Cudny śnie wyobraźni, widzenie natchnione,
Błękitnych słów, liliowych tonów harfo złota,
Miejsce ciszy, pokoju, melodyi świetlanej,
Harmonii, co modrą niebiosów oponę
I modre w jeden błękit zlewa oceany;
O źródlana oazo pustyni żywota:
Oto tam, na granitach, w chmur ciemnej żałobie,
W martwej, śródskalnej ciszy, daleko, daleko,
Złoty ptak, lodem bity, zmarzły, śni o tobie,
A krople krwi mu z piersi na śnieg biały cieką.

Nad morzem.

Smutek i martwość upadły na duszę —
I oto błękit ów jasny i czysty,
I morza lazur złoty i świetlisty,
I róż girlandy i palm pióropusze,
I słońce, blasków kaskadą rozrzutne:
Wszystko tak martwe stało się, tak smutne.

Więc jasność owa, pogoda i radość,
Wszystko w człowieczej duszy ma początek,
I trzeba strzec się swych własnych pamiątek,
Aby nie oblec świata w kir i bladość,
I trzeba kryć się przed swą myślą własną,
Gdy od niej słońca ciemnieją i gasną...

II.

O morze! Oto do twej głuchej fali,
Goryczą własnych myśli nieszczęśliwa,
Ziemią znękana, bez ostoi w niebie:
Rzuca się dusza, by uciec od siebie,

I, jak łódź wichrem pędzona, odpływa
Dalej i dalej, w bezbrzeż, coraz dalej...

Dalej i dalej... Już, zda się, zatraca
Pamięć swej klęski, swoich win i kary,
I gdy poza nią skraje lądu znikły,
Siedziby swojej zapomina zwykłej —
Płynie — aż ujrzy, że płynąc w bezmiary,
Tam, skąd uciekła, niezmiennie powraca...

Orzeł.

Spłynął wolno przez ciche powietrzne ogromy,
Usiadł na skale, złożył skrzydła ciemno-płowe,
Pierś odął, dziób podnosząc wcisnął w barki głowę
I siedział zadumany, wielki, nieruchomy.

Patrzył w dół, świat mu w okrąg legł u stóp wi-
[domy — —
Patrzył, a jego oczy w skrach błyskawicowe,
Treść całej orlej duszy miały i wymowę:
Patrzył spokojny, zimny na świata poziomy.

Tam — mógłby wulkan ziemię w nic obrócić całą,
Jemu-by jedno pióro w skrzydłach nie zadrgało — —
I wiesz ty, wichroskrzydły, podsłoneczny ptaku,

Siedzący tam bez ruchu na tej skale twardej,
Czegoć więcej zazdroszczę, niż twych lotów szlaku?
Oto prawa do zimnej, spokojnej pogardy!

Vogue la galère!

Vogue la galère! Niech płynie łódź
Przez jakie chce odmęty — —
Gnijące wody pruć, to pruć!
Vogue la galère! Do dyabła wiosła,
Na bagna z wiosłem fala zniosła,
Więc precz!... I ster pęknięty?!
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

Vogue la galère! Niech płynie łódź!
Niech tonie — mała szkoda...
Cóż, choć kto woła z brzegu: wróć!...
Vogue la galère!... Ha, żagiel pęka —
Widocznie lina była cieńka,
Lub zbyt napięta... Huczy woda...
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

Vogue la galère! Niech płynie łódź!
Niech grzęźnie po szczyt rei — —
Tonący błotem będzie pluć!

Vogue la galère!... A tam, w oddali,
Sto łodzi mknie po modrej fali,
Sto świeci im nadziei....
Vogue la galère... Niech płynie łódź...

Vogue la galère! Niech płynie łódź!
Kto winien? Czyż są winni?
Jeżeli chcesz, kamieniem rzuć —
Vogue la galère! Lecz wyżej świeci
Flaga, niż kamień twój doleci...
A zresztą cóż? Wszak będą inni...
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

»Cogito, ergo sum«.

Jak się zwierciadło w życiu przydać może
Na moim własnym pokażę wam wzorze.
Były raz chrzciny. Przyszło mnóstwo państwa,
Szlachty, mieszczaństwa,
Panie pełne godności, panowie powagi,
Młodzież miała pozycye, dziewice posagi,
Wszyscy pięknie mieszkali, przyzwoicie żyli,
W lecie jeździli do wód, w zimie się bawili,
Panie się z hrabinami stykały na kweście,
Panom się odkłaniali prezesi na mieście,
Słowem, była kompania wielce znamienita,
O mało że nie elita.
Czułem się tam tak zmiażdżony,
Przygnieciony, znicestwiony,
Taki nikły, taki cieńki,
Taki drobny, tak maleńki,
W nos tym broszom i krawatom
Taki pyłek, taki atom:
Że pod litościwemi tych panów oczyma

I pań pełnym ironii pobłażliwej gestem,
Pewnym był, że naprawdę wcale mnie już niema...
Wtem patrzę: lustro... Z szczęścia zadrżała mi du-
[sza!
O boskie, o wybawcze słowa Kartezyusza:
Myślę, to nic! lecz widzę się w lustrze, więc jestem!

IV

GRA SŁÓW





I.

Kochałem ciebie... Zła dola nad nami
Od pierwszej chwili twarz jawiła ciemną;
Odszedłem — twemi pożegnany łzami
Nad wszystkiem świecie, tylko nie nademną.

Odszedłem... Świat się cały nie zawalił,
Ani runęły pod nim rusztowania,
Tylkom u progu twojego zostawił
Całe pragnienie i miłość kochania.

II.

Mów do mnie jeszcze...
(Preludya).

Mów do mnie jeszcze... Z oddali, z oddali
Głos twój mi płynie na powietrznej fali,
Jak kwiatem, każdem słowem twem się pieszczę...
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Te płynące ku mnie
Słowa są jakby modlitwą przy trumnie
I w sercu śmierci wywołują dreszcze —
Mów do mnie jeszcze...

III.

Przychodzisz do mnie noc po nocy,
Śnisz mi się długo i boleśnie — —
Patrzę w twe oczy, a twe oczy
Są jak dwa zimne światła z lodu

Wyciągam ręce do twych dłoni:
Twe dłonie są jak ostre noże;
Chwytam twe małe drogie stopy:
Twe stopy są jak ostre ciernie.

I budzę się od krwi na rękach,
Na dzień się budzę długi, smutny — —
Przychodzisz do mnie noc po nocy
Śnić mi się długo i boleśnie.

V

POUR PASSER LE TEMPS

OKTAWĄ

Nigdy mu ramion pierwsza nie otwarła
Choć się łaskawie obejmować dała:
Nigdy, gdy szepnął z ściśniętego gardła
»Kocham« — nie rzekła nic, tylko słuchała.
Jemu się z bólu dusza w sztuki darła,
Bo nic w niej znaleźć nie mógł oprócz ciała,
I to, co pomnieć musiał nieustannie,
O ile szukać wypadało w pannie.

Albowiem panną była, a za wiano
Prócz dwóch wsi, miała urodę Dyanny.
Młodzież w niej cała była zakochaną,
Wszystkie jej również niecierpiały panny.
Rodziców dawno w grobie pochowano,
W klasztorze wiek swój przeżyła poranny,
Gdzie się, w sekrecie przed swą przełożoną,
Najczęściej w żonę i męża bawiono.

Potem, gdy suknię już zrzuciła krótką,
Gdy się jej wiosna zaczęła siedmnasta,
W Warszawie z ciotką mieszkała rozwódką
I poznawała obyczaje miasta.

Jeszcze raz złotu przypatrzył się snopów,
Jeszcze raz spojrzał, jak kartofle sadzą,
I z swem ojczystem rozstawszy się polem,
Zakupił willę gdzieś pod Neapolem.

Tę willę wielkim otoczył parkanem,
Parkan zaś cały oplótł żywopłotem;
Wewnątrz park kwieciem ustroił różanem,
Pąsem kaktusów i pomarańcz złotem;
Postawił namiot pod chłodnym platanem,
Zawiesił miękki hamak pod namiotem,
I wodzie w lilie ubrawszy krawędzie,
Flamingi na nią puścił i łabędzie.

W alejach parku, w cyprysowych cieniach,
Rozstawił białe boginie kamienne;
Na okwieconych stały podniesieniach
Prześliczne, nagie, nieruchome, senne...
Srebrzyste w srebrnych księżyca promieniach,
W promiennej słońca jasności promienne,
Na tle drzew ciemnych bieliły się cudnie
Blade wśród nocy, świetlane w południe.

Z parku miał widok na morza błękity,
Na ściany Capri, co się lśnią i bielą.
Na Wezuwiusza płomieniste kity,
Na w mgłach różanych widny Sant' Angelo — —

Widok miał bardzo piękny i odkryty,
I nieraz siedząc nad morską topielą,
Cieszył się, patrząc na przejrzysty lazur,
Że żaden w parku tym nie bywa Mazur.

Miał także własną łódkę, którą czasem
Płynął na morze, kiedy woda gładka
Była tęczami świecącym atłasem.
Zawsze mew za nim leciała gromadka
Którym jeść rzucał i nad łodzią pasem
Krążyły śnieżnym, że łódź jako chatka
Zdała się polska pod gołębi sznurem,
Jak łąk zielenią, oblana lazurem.

Tam na wznak leżąc ku niebu oczyma
Nieraz dnie całe przepędzał samotnie,
Myśląc, że przeszło lato, przyjdzie zima,
Albo też myśląc to samo odwrotnie.
Myślał, że czego braknie, tego niema,
Że tysiąc razy, znaczy tysiąckrotnie,
Że fasolowy sos robi się z fasol
I że od deszczu ochrania parasol.

Czasem też bawił się wspomnień zabawą,
Niejedną złoto- znał i czarno-brewą — —
Z tych jedna miała pierś lewą i prawą,
A druga miała pierś prawą i lewą...

Tą przeżuwaną znudziwszy się strawą,
Patrzał bezmyślnie za skrzydlatą mewą,
Albo na nieba patrzał błękit czysty,
Albo na spinek swoich ametysty.

A czasem leżąc w łodzi, mimowoli
Wracał pamięcią w swoje dawne strony,
Do swoich łanów i do swych topoli,
Do swoich wiklin — i do Kufke-żony,
Która tymczasem Kufkemu kark woli
Obejmowała białemi ramiony — —
Tak sądził, chwiejną kołysany łódką,
Nie wiedząc, że to trwało bardzo krótko...

I wyciągały mu się ku niej ręce
I pierś pękała z żalu i tęsknoty...
Widział jej usta krasne i dziewczęce
I szafir oczu raz srebrny, raz złoty...
Widział jej blade, przejrzyste rumieńce,
Półciemnych włosów miękkie, bujne sploty,
I urokami czarujące łono — —
I wkoło wodę pustą, nieskończoną...

Ogromną wodę, po której okręty
Szły, białym żaglem świecąc się pod słońce;
Przestwór niezmierny i nieogarnięty,
Gdzie dusze smutne, błędne i tęskniące,

Jako mar poczet włóczą się zaklęty
I bóle swoje i skargi palące
Topią w bezdennej głuszy i otchłani,
Idąc, jak ludzie z ojczyzny wygnani...

Pani Kufkowa wiedziała najpewniej,
Że jest kochaną wciąż i bez pamięci
Z wszystkiem, co dobre i wszystkiem, co złe w niej,
Nawet myślała o tem nie bez chęci,
Sądząc, że wielce się przez to »królewni«
»Anielkowuje«, podnosi i święci,
I że z Henrykiem, co gdzieś dla niej kona,
Jest ponad wiele kobiet — wyróżniona.

W jej biurku leżał list. Miał z Bazylei
Pieczęć, pisany być musiał w wagonie.
List ten brzmiał: »Pani! Więc reszta nadziei,
Jak kamień w wodzie niezgłębionej tonie?!
Więc tak?! Huczące wśród śnieżnej zawiei
Alpy mi zdają się walić na skronie — —
Więc tak?!... Napróżnom serce wydarł z piersi
I do nóg cisnął ci... Lecz czyż my pierwsi?...

I tylko nie wiem, czemu w mojej duszy
Jest ból, jak gdyby pierwszy ból na ziemi?
Czemu to serce tak się rwie i kruszy,
Jakby wszystkiemi mękami ludzkiemi

Cierpiało we mnie... Czemu tej katuszy
We mnie zwyczajna ta myśl nie oniemi,
Że serca mrą z boleści, lecz powoli,
Zapominają o tem, co je boli?

Tylko w nich smutek pozostaje cichy
I dziwna smętność marzeń — — bo ja to wiem,
Lecz dziś jest we mnie bunt i piekło pychy
I żal, serdeczny żal... Ach! Niewypowiem
Ile jest we mnie żalu... Ot jak lichy
Robak ci do nóg pełzłem — — życiem, zdrowiem,
Krwią, mózgiem, sercem byłbym o twe szczęście
Walczył... Wolałaś z bogatszym zamęście...

Ja sam już nawet nie wiem dobrze, kto to
Bezmiłosiernie z mych rąk cię wyrywa?
Nic nie wiem, czuję tylko, że mię gniotą,
Że jakaś krzywda mię łamie straszliwa,
Że mi się serce bólem i tęsknotą
Rwie, że z mych piersi krew ucieka żywa,
Że... sam już nie wiem, co piszę... pod czołem
Wszystko mi nagle stało się popiołem.

Zrobiłaś duszę mą jedną ruiną
Pełną strzaskanych kolumn, gruzu, łomu,
Najświętszy ołtarz mój oplwałaś śliną,
Z kraju wygnałaś mnie i z mego domu — —

Wszystkie me czucia, wiedz, przez ciebie giną,
Nie znam już prawdy, nie znam wstydu, sromu,
Nie wiem, co żadne święte słowo znaczy,
Nie znam na świecie nic — oprócz rozpaczy...

Jak pies, u nóg twych chciałem leżeć, stopy
Całować twoje i jeszcze to sobie
Mieć za raj szczęścia... Dziś — — pół Europy
Dzieli nas... O ty!... Wszakżem twoje obie
Ręce na szyi miał... Jak światła snopy
Na łąkę lecą o porannej dobie:
Tak mi z twych oczu szedł blask w głębię ducha...
Dziś co?... Ta pustka Alp dokoła głucha...

Pamiętasz? Nie raz to i nie dwa razy
Mdlałaś w ramionach moich, o Irenko,
Niezrozumiałe mi szepcąc wyrazy
I włosy moje plącząc drżącą ręką...
Chciałażeś tylko zmysłowej ekstazy?
Upojeń? Szału? Tak?... Ach! jeszcze miękką
Twą kibić czuję tu, na mojem ręku
Przegiętą, w włosów rozsypanych pęku...

I czuję ciepło twego ciała jeszcze,
Ciepło twych westchnień i spojrzeń, o droga!
Jeszcze na rękach cię tu mam i pieszczę,
Pieszczę, całuję... Na żywego Boga!

Jak ból to serce w rozpalone kleszcze
Chwyta; jak burza grzmi po Alpach sroga,
Jak się te góry po jeziorach dwoją:
Tak ci przysięgam dziś, że będziesz moją!...«

Ten list rok leżał u pani Kufkowej
W biurku; przez ten czas Henryk na wsi bawił,
Potem wyjechał, zaś ona miodowy
Czas przepędzała w Nizzy, gdzie się pławił
Pan Kufke w morzu i kwiatach. W okowy
Amor go srogie wziął i srodze dławił,
Bo wśród akacyj chodząc i wśród bluszczu,
Pan Kufke stracił dziesięć funtów tłuszczu.

A żona nie utyła... Rok upływa,
Pani Irena jest zawsze powiewna...
Mówią, że trochę ma wstrętu do — — piwa...
Mówią — — lecz rzecz to nie jest wcale pewna...
Ludzka złośliwość jest taka złośliwa...
Dość, że po świecie chodzi jak królewna,
A przy niej, kufa z piwem przy kolumnie,
Jej mąż, pan Kutke, poważnie i dumnie.

(Miał sto tysięcy rocznie). Nieczytany
List leżał w biurku; lecz raz gdy na balet
Mąż poszedł, ona swej garderobianej
Chcąc wybrać jedną ze starych toalet,

W swym buduarze, w którym wszystkie ściany
Świecą tęczami wachlarzów i palet,
Otwarła biurko, gdzie kluczyki kładzie,
I list przypadkiem spostrzegła w szufladzie.

Wzięła i zbladła trochę i z powrotem
Chciała położyć — wyjęła z koperty
I jęła czytać te słowa z łoskotem
Wielkim pisane, bez logiki, *per ty*.
Zarumieniła się, znów zbladła, potem
Zgarnąwszy nowych »Mód paryzkich« sterty,
Usiadła na fotelu z listem w ręku,
Przegięta, w włosów rozsypanych pęku.

Siedziała długo, w tył schyliła głowę,
List na kolana padł, ręce jej zwisły;
Przez twarz jej bladą szły ognie pąsowe
I pierś wznosiła się w sukni obcisłej.
Dreszcze ją jakieś wstrząsały nerwowe
I w oczach jakby dwie wielkie łzy błysły — —
Przycięła usta i nogę na nogę
Kładąc, westchnęła... List spadł na podłogę.

Siedziała długo. Wtem ozwał się dzwonek — —
Drgnęła, wydęła usta marszcząc czoło
I list włożyła między stos koronek.
Mąż wrócił. Wyszła z twarzą niewesołą,

Siadła do stołu i biorąc za trzonek
Widelca, naprzód przyjrzała się wkoło
Ścianom, obrazom, zwierciadłu, papudze,
A potem rzekła zwolna: »Ja się nudzę«.

»Nudzisz się żonko?! Mieć takie pokoje!
Nikt niema mebli ładniejszych w Warszawie!
Nudzisz się?!« »Nudzę«. »Chcesz, to, serce moje,
Nowe obicie do salonu sprawię?«
»Nie«. »No to może pojedziem oboje
Naprzykład do Berlina? Nie? To wstawię
W twoją rubrykę — — Nie? To nie mam słów już — —
Cóż chcesz?« »Chcę widzieć Baje i Wezuwiusz«.

»Baje? Lecz baja dawno jest niemodną,
Nikt już nie nosi bai i — —« Z pod oka
Patrząc, Irena rzekła na to chłodno:
»Baje, to mężu jest morska zatoka,
Nie sukno; chcę tam brać kuracyę wodną.
A zaś Wezuwiusz to góra wysoka,
Wulkan, nad Neapolem. Pojedziemy?«
Mąż skinął głową czerwony i niemy.

Tymczasem Henryk znudził się w swej willi
I na operę poszedł: grano Mignon.
Wtem, gdy w antrakcie widze brawo bili
Łaskawą darząc artystów opinią,

Spojrzał do góry — i w tejże go chwili
Dreszcz przebiegł: ujrzał za jakąś Wirginią
Rzymską, cud — — chyba poszła na paradyz
Eunice — (czytał był właśnie Quo vadis).

Jak się zapoznał z niemi, mniejsza o to;
Dość, że niedługo cudny skarb dziewczęcy
Nabył od matki gotówką za złoto,
Dając w ludwikach franków pięć tysięcy.
Dziewczyna poszła do willi z ochotą,
Był to zaiste dla niej los książęcy,
A nadto matka ze stryjem Briganti
Chcieli ją sprzedać w »Casa Fioravanti«.

Viola poszła z domu z obcym panem
W brudnej sukience, w podartej koszuli:
Tam wszystko było już przygotowanem,
Kąpiel jej dali, odziali, obuli;
Dali jej pokój zasłany dywanem,
Mnóstwo batystów, koronek i tiuli,
Kilka zwierciadeł, kanapę z poduszką,
Dwa kandelabry i francuzkie łóżko.

Jedno zwierciadło miała z lewej strony,
Drugie po prawej, trzecie u sufitu.
Tapicer nawet był tem zachwycony
I w sufit haki bił pełen zachwytu.

Miała też ganek na morze rzucony,
Na wodę z różu, srebra i błękitu,
Cichą, głęboką, pustą i niezmierną,
I w szafie Asti, Szampan i Falerno.

Było południe. Siedzieli oboje
W parku nad morzem. Jej płynęły z głowy
Złotawych włosów wite w loki zwoje
Na smukłych ramion kształt alabastrowy.
Nosiła w domu na pół greckie stroje,
Które jej wdzięki kryły do połowy,
I teraz, w białej tuniki rozcięciu,
Widać jej było białe biodro w zgięciu.

Na morze oczy obróciła duże,
Łagodne, smętne, czyste oczy Psychy,
I wodząc niemi po złotym lazurze
Miała w nich morza uśpionego cichy
Błękitny uśmiech. W drobnej dłoni róże
Trzymała, wielkie więdnące kielichy,
Co miały w blasku więdnących szkarłatów
Ten dziwny smutek konających kwiatów.

W białej tunice, w wianku róż na głowie,
Z różami w dłoni, cicha, zamyślona,
Była, jak Nimfy gdzieś w greckiej dąbrowie
Zrodzone z baśni. A fala złocona

Jej białe stopy brała za wezgłowie,
Lub zawisała perłą u jej łona,
Albo na róże i włos rozwinięty,
Wielkie i jasne siała dyamenty.

Henryk ramieniem otoczył jej szyję,
Lubieżną szyję marzącej Charyty,
I czuł jak serce u dziewczyny bije
W piersi okrągłej, pełnej, półodkrytej.
Ile się żaru pod tą piersią kryje,
Wiedział, i wiedział, jak jej ócz błękity
Mdleją z pod powiek, gdy na pół zemdlona
W tył się przechyla, otwarłszy ramiona.

Przed nimi morze grało zmienną tęczą
Przesrebrzanego w lazur fioletu,
Pokryte gazą oparu pajęczą,
Co od w łuk giętych gór modrego grzbietu,
Hen, ponad siną zatoki obręczą,
Wisiała drżąca, jakby dźwiękiem fletu
Kędyś wśród laurów ukrytego Pana
W błękitne rytmy sennie kołysana.

Siedzieli cicho, wsłuchani w milczenie
Odległych pustek, w bezmiar wód wpatrzeni,
Samotni, cisi, bez ruchu, dwa cienie
Wyszłe z cyprysów tajemnej zieleni.

Tylko swe zgodne jednotonne tchnienie
Słyszeli, wzajem do się przytuleni.
Tej chwili Henryk z nad róży kielicha,
»*Verweile doch, du bist so schön!*« rzekł z cicha.

»*Verweile doch!*...« Poza nim cmentarz życia,
Powiędłe myśli, albo wbite w błoto,
Wszystko stracone i nic do zdobycia
I serce próżną stargane tęsknotą...
Przed nim?... Z przyszłości ciemnego ukrycia
Jutro — twarz bladą śmiertelną martwotą
Wychyla, widmo straszne i pokutne,
Trwogę niosąc i jak trumna smutne.

»*Verweile doch!*...« Bo oto wczesna idzie
Starość i nędza ciała, co trupieje;
Starość, w swej całej grozie i ohydzie,
Starość, co lodem przerażenia wieje,
Starość, kąpana w fizycznym bezwstydzie,
Wstrętna, okropna; starość, która leje
Na nędzne ciało ludzkie kubeł kału
I robi zgniłe próchno z »ideału«.

Starość, co łamie, druzgoce i depce,
Starość, co nurzy w szpetności po uszy,
Starość, co żywą krew po kropli chłepce,
Starość, co serce zabija, mózg suszy,

Starość, co pierwsza nad dzieckiem w kolebce
Staje i krokiem się odeń nie ruszy
I jak śmierć za niem bezustannie chodzi — —
Wybrańcy bogów umierają młodzi.

»*Verweile doch!...*« Daremnie... Przeszła chwila,
Przeszła i więcej nigdy nie powróci,
Nigdy już więcej... Czuł, że się pochyla
W nim coś ku ziemi, zasępia i smuci.
Czar znikł, jak lotnych obłoków flotylla,
Gdy je po morzu w nicość wiatr rozrzuci.
Zrozumiał, że w tej chwili do zenitu
Doszło u niego uczucie dosytu.

Zrozumiał, że już więcej tu na ziemi
Wydobyć nic już nie zdoła z użycia,
Zanim go starość z szczękami trupiemi
Chwyci, z ciemnego wypełzła ukrycia.
Tu, nad wodami siedząc błękitnemi,
Swą najpiękniejszą miał godzinę życia,
Pośród natury, jak cud, przy kobiecie,
Jak wybujałe w słońcu polne kwiecie...

I wolnym ruchem wyjął z kamizelki
Papierek, w którym nosił cyankali:
Spojrzał — — na ręku miał zwitek niewielki — —
Wzdrygnął się — — po tem już nic nie ocali —

Jednak czy warto żyć bez żądzy wszelkiej,
Bez pragnień, złudzeń, nadziei?... W oddali
Zobaczył nagle w parku, wśród topoli,
Panią Irenę, idącą powoli...

Pani Irena szła, a Henryk wstawał
Nie będąc pewny, czy widzi na jawie,
Czy też złudzenie go bierze na kawał
I ambetuje, jak mówią w Warszawie.
Ona! Tak ona! Czyżby nie poznawał?!
Ta sama gibkość i smukłość w postawie,
Te same ruchy, rysy... Święte bogi!
Irena! Ona!... Zerwał się na nogi.

Wraz z nim zerwała się z ławki Viola,
Która dotychczas patrzała na morze.
Stanęła smukła, gibka jak topola,
A na twarz wyszły jej rumieńców róże —
Zażenowała ją szatek swawola,
Które wiatr lekki podnosił ku górze,
Więc się ogarnia rączkami, pół dzika,
Pół przestraszona patrząc na Henryka.

Pani Irena stała blada cała —
W jej oczach tysiąc zaświeciło błysków
Zda się, że nagle na głaz skamieniała
I była, jak statua z wodotrysków,

Albo monument... List, który trzymała
W ręku, od palców kurczowych uścisków
Zwinął się w biały, pomięty papilot —
A usta były jej, jak działa wylot,

Dopóki lontu kanonier nie zniży...
Straszliwy otwór... Wtem krew jej na lice
Buchnęła, o krok jeszcze przyszła bliżej
I na Henryka oczów błyskawice
Zwracając, oczów, jak sierć kolcozwiérzy,
List odrzuciła precz na fal śnieżyce
I lady Makbet ruch z trzeciego aktu
Czyniąc, przez zęby rzekła: To pan tak tu?!...

To, gdy ja myślę, że pan schnie z żałoby
I o mnie tylko myśli, za mną jęczy,
Pan tu z dziewczyną włoską?!... Boże! Ktoby
Pomyślał?!... To ja!... A pan tu się wdzięczy
Do jakiejś Włoszki! Ja... Nie! To wartoby
W powieść... Ja myślę, że on się tu męczy,
Że on tu kona od przeszło dwunastu
Miesięcy — — a on tu... *non! ça surpasse tout!*

Ha! To zaiste godne pana, w taki
Ubliżyć sposób bezbronnej kobiecie!
Poznaję pana — — zawsześ pan jednaki —
Nic się nie zmienia widać na tym świecie,

Jednak czy
Bez pragnień
Zobaczył
Panią Irenę.

Pani Irena
Nie będąc
Czy też
I ambetuje,
Ona! Tak
Ta sama
Te same
Irena! Ona!

Wraz z
Która
Stanęła
A na

...sy jej znowu rozsnuły się w pękach,
... przewiesiła w tył głowę zemdloną,
...od gorsu piersi wyjrzały z ostrożna
...dliwie, jakby pytając: czy można?...

... rękach czuł ją swych całą zwieszoną,
... ciepło ciała jej i jej oddechu,
... piersi czuł jej falujące łono,
... krew tętniącą w jej żyłach w pośpiechu,
... swoją dawną, kochaną, straconą...
... ona zwolna, w smętnym półuśmiechu,
... powiek wzniesie i pół ust rozchyli
...dłych, podobnych pół roztwartej lilii —

...patrzy... Wszystko pierzchło mu z przed oczu,
...erpienia, męka, gniew i wszystko potem —
...anurzył palce w jej gęstym warkoczu
... się pod słońca światło błyszczał złotem,
Schylił twarz — — w oczu jej mglistem przezroczu
Zadrgało światło — — nagle rąk mu splotem
Objęła szyję — — i czoło im z czołem,
Usta z ustami spoiły się społem...

Jak długo trwał ten czar — — któż takie chwile
Liczy — — lecz nawet Henryk uczuł życie...
On, co przed chwilą chciał się skryć w mogile
Przed nudą: tonął, jak chłopak, w zachwycie,

Jak chłopak, gdy już poczuł się na sile
Schwycić dziewczynę w pół w owsie lub życie,
I w tył przygiąwszy niekedwie ku ziemi,
Spoił jej usta z ustami swojemi.

O gdyby chwila pierwszego objęcia
Mogła być wieczną... któż tego niepomni?
Te tajemnicze, te nieznane wgięcia,
Te skryte czary kształtów... Któż zapomni?
Pierwsze zbliżenie ust do ust dziewczęcia,
Co oszaleni i nieprzytomni,
Pierwsza płomienna rozkosz nocą późną...
»*Verweile doch! Du bist so schön!*«... Napróżno...

VI

FANTAZYA LIRYCZNA

Pieśń wenecka.

Od morza wiatr i mgły i chłód —
  Gondola mknąc kanałem,
Kołysze się raz w tył, raz wprzód,
  Jak dziewczę gibkiem ciałem.

Łabędzi metalowy dziób
  Podnosi w górę dumnie
I mknie przez cichą głąb, jak grób,
  Podobna czarnej trumnie.

Pałaców marmurowy rząd
  Ma w sobie sen cmentarzy;
Półmartwej wody senny prąd
  U progów ich się waży.

Na Anioł Pański biją z wież
  Rozległe, pełne dzwony —
Niech będzie światu wzdłuż i wszerz
  Pokój błogosławiony...

Niech będzie światu wszerz i wzdłuż
  Anielskie pozdrowienie,
Od ziem do ziem, od mórz do mórz
  Sen dobry i spocznienie...

Niech się osuszą wszelkie łzy,
  Ból każdy niech się stłumi — —
Z Adryatyku lecą mgły
  I wicher głucho szumi.

Z Adryatyku leci szum,
  Wzburzonych fal pieśń dzika — —
Na placu Marka ludzi tłum,
  Wesoło gra muzyka.

Ile tam ócz i ust i łon — —
  Hej, gondoljerze, żwawo!
Na Anioł Pański przebrzmiał dzwon,
  Latarnie lśnią jaskrawo.

Ostatnie już z mosiężnych ech
  Zginęło w chmur całunie —
Na placu Marka gwar i śmiech,
  Pstry kobiet rój się sunie.

Ile tam pragnień, ile żądz,
  Ile tam ognia płonie:
Namiętność rzeką płynie, rwąc
  Ten cały tłum w swe tonie.

Jak się tam w żyłach skłębia krew,
    Jaki kurcz usta chwyta,
Jak palce drżą, ściąga się brew,
    Pierś dyszy półodkryta...

Jak tam omdlałe chwieją się
    W biodrach kibicie gibkie;
Jak błyskawica złota mknie
    Z oczu spojrzenie szybkie...

Vogue la galère! Dalej w tłum
    Hej, gondoljerze, żwawiej!
Tu wichru jęk i morza szum,
    Na placu tłum się bawi.

Tu łkanie fal i wichru jęk,
    Mrok głuchą leży ławą:
Na placu śmiech i gwar i dźwięk,
    Latarnie lśnią jaskrawo.

Vogue la galère! Resztę dni
    W bacchicznym przeżyć szale,
Zużyć ostatnią kroplę krwi — —
    Dość miejsca jest w kanale...

W wędrówce.

Dopóki miałem gdzieś dom oznaczony
A kędyś w obcą zaleciałem dal:
Daleko było mi do mojej strony,
Było mi tęskno i było mi żal — —
Lecz dziś, gdy nigdzie niema mego domu,
Równie mi pusto wśród świata ogromu.

Pókim się łudził, że jestem kochany,
Że czyjąś pamięć wszędzie z sobą mam:
Choćbym był zabiegł gdzieś na oceany,
Lub w step niezmierny: nie czułbym się sam — -
Lecz dziś, po chwili zgasłej bezpowrotnie,
Wszędzie mi równie pusto i samotnie...

Przez turnie, pustki...

Przez turnie, pustki wiatr ściga mgły,
Ściga niechwytne nad wodną toń — —
O serce ludzkie, ścigaj swe sny,
Przez turnie, pustki je goń.

Ścigaj niechwytne twoje sny-mgły,
Aż cię ból zdejmie i żal i gniew,
Goń je, aż z ciebie wytrysną łzy,
Wytrysną łzy, wytryśnie krew...

Pod martwą skałą...

Pod martwą skałą więdną górskie kwiaty:
  Zwarzył je mróz,
Burzą strącony i zniesiony deszczem,
  Przysypał gruz.

Więdną i próżno patrzą się ku słońcu
  Z pod martwych skał —
I po co na tę śmierć nieuchronioną
  Wiatr tam je siał?...

Gdzie jest...

»Gdzie jest twój sen? Gdzie jest twój sen?«
   Spytało wielkie morze;
Góry spytały, gdzie jest mój sen?
   I szum mnie spytał w borze.

Słońce mię pyta: »Gdzie jest twój sen,
   Sen, co był sercem w tobie?«
Gdzie jest mój sen? Gdzie jest mój sen?
   Wraz z sercem mojem w grobie.

Ponure widmo...

Ponure widmo, co nad wodne głębie
Płyniesz w obłoków zawichrzonych kłębie,
Niesione wichrem rozszalałym halnym,
Straszne, że smreki drżą na brzegu skalnym:

Mnie nie przerazisz... Gdyby wyszła ze mnie
Mara mej duszy na te wodne ciemnie:
To przed jej smutkiem ty, górskie widziadło,
Cofnęłobyś się i w turniach przepadło.

Poranne białe...

Poranne białe płyną mgły
Pod Beskid modrosiny;
Nad Granatami słońce się lśni
Przez srebrne pajęczyny.

W kotlinie, nizko, schodzi cień
Z ciemnych jeziorek głuszy;
Blady, jesienny powstaje dzień
I ranną rosą prószy.

Na hali deski pustych strzech
Zdaleka lśnią do słońca;
Dokoła trawa, kamień i mech,
Pustka, jak grób, milcząca.

Z poza przełęczy lecą mgły,
Z szumem się w górze mącą,
I zapadają, jak ludzkie sny,
W przepaść, jak grób, milczącą.

Daleko został...

Daleko został cały świat,
    Wiatr tylko po uboczy
Nagiej, pożółkłej, po szarych mchach,
    Jęczące skrzydła włóczy.

Nie przyszła tutaj ze mną wraz
    Pamięć, ni myśl niczyja,
Tylko tęsknota, co duszę rwie,
    Tęsknota, co zabija...

Zaszumiał ciemny...

Zaszumiał ciemny, głęboki las:
  Żałość się po nim niesie,
Niezmierny smutek, ogromny ból
  Zaszumiał w ciemnym lesie.

Czemuż, o lesie, konary twe
  Tak smutną pieśń zawiodły?
Czy piorun spalił, lub topór ściął
  Twe najpiękniejsze jodły?

We mgłach strumienie...

We mgłach strumienie szumią wód
Po skale biegnąc ściętej;
We mgłach wieczorny opadł chłód
Na sennych fal odmęty;

We mgłach żałobny pomrok z hal
I ciemnych zszedł krzesanic —
I we mgłach spływa żal, ach żal
Bez dna, bez dna, bez granic...

W pustce.

Ciche leżą kamienie pod skał ciemnym murem.
Noc — wzdłuż żlebu się świeci wązki smug księżyca,
Jak ogromna, stężała w locie błyskawica,
Zamarznięta na skale w pustkowiu ponurem.

Cicho... W złomach jezioro czarne i zlodniałe;
Taka głusza, że słychać szelest kropel z śniegu
Sączących się w toń wody po kamieniach z brzegu
Śnieg pokrył ciemnym płatem ochmurzoną skałę.

Chmury się dotykają prawie mego czoła;
Zimne, oślizgłe głazy ręce moje ziębią...
Nad jeziora lodową, przepaścistą głębią
Zasłuchałem się w przestrzeń... Idźmy... »nikt nie
[woła...«

Z Mori.

Pusto... Wzgórz ciche, faliste kontury
Niebieskim łukiem malują się w mroku;
Księżyc, jak łabędź płynie srebrnopióry
Po morzu nieba. Gdzieś nizko, na stoku,
W głębi wąwozu, co wpół przeciął skałę,
Tam, od północy: jedna gwiazda złota
Zdaleka, w ciemni, lśni się i migota...
Powietrze pachnie... Kwiaty wybujałe
Na liście połysk księżycowy biorą
I rozłożyste ciemne cienie drzewne,
Majacząc w mroku, jak widma rozwiewne,
Gdzieniegdzie świecą posrebrzoną korą.
Noc milczy — — zda się, serc usłyszę bicie,
Serc choć najdalszych... Na ciemnym błękicie
Owa mię gwiazda obraca ku sobie
Z zarówno smutną, jak i nieodpartą
Mocą kagańca na kochanki grobie — —
A jednak patrzeć na groby czy warto?...

Martwa puszcza.

Cichy i ciemny bór. Gdzieniegdzie rdzawy
Mech się rozściela wśród pożółkłej trawy.
Głęboka, głucha, jednostajna puszcza,
W którą konarów sieć mocno splątana
Promieni słońca przez gąszcz nie dopuszcza.
Jak okiem sięgnąć, drzewa, drzewa, drzewa,
W oddali jedna, czarna, zbita ściana.
Nigdzie wiewiórka nie kląśnie schowana,
Bąk nie zabrzęczy, ni ptak nie zaśpiewa,
Ani gdzieś łanie idąc ku strumieniom,
Zachodzą z boku rogatym jeleniom —
Martwo i niemo... Siwe głazy leżą
Wśród pniów zbutwiałych, paproci i wrzosów.
Nigdy tu jasnych nie widać niebiosów,
Nigdy się zorzą bór nie budzi świeżą.
Ta sama dawna ciemność bez granicy
Odwiecznie tutaj spoczywa w spokoju;
Żadne tu życie nie budzi zastoju —
Martwo i niemo w puszczy, jak w kostnicy.

Tylko się czasem mgły po drzewach włóczą,
Powiewne mary, ciche i złowieszcze;
Czasem pluszczące zaszeleszczą deszcze,
Albo huk gromu nagnanego tuczą,
Pomiędzy drzewa rozlega się głucho;
Czasem konary gięte zawieruchą
Szumią szeroko, jak w przypływie morze,
Lub od wichrowej złamany nawały,
Z łoskotem pień się obali spróchniały —
I burza przejdzie i znów cicho w borze.
Nigdy tu nie brzmi śpiew lub flet pastuszy;
Nigdy dziewczyna nie zabiegnie z dzbankiem
I piosnką ciemnej nie osrebrzy głuszy,
Lub pod konary nie wejdzie z kochankiem
Dłoni splątywać modrych kwiatów wiankiem,
I ust swych spajać z kochanka ustami,
I śnić i życia w to kłaść, że są sami...
Tu wieczna pustka, tu wieczne milczenie,
Tu, jako w piersiach, w których serce zmarło,
Cicho — nie zbudzi go jęk, lub westchnienie...
Ta puszcza jest już na wieki umarłą.

Ciemnosmreczyński staw.

W kotlinie, wśród kamieni
I pordzewiałych traw,
W posępny blask się mieni
Ciemny i cichy staw.

Nad nim się piętrzą zwały
Nagich, skrzesanych ścian,
Mech pnie się osiwiały
I kosodrzewu łan.

Niezmierna martwa głusza
Zaległa skał tych kąt:
Przeciągła pieśń pastusza
Nigdy nie zabrzmi ztąd.

Czasem się wiatr w kotlinie
Z skalnych przetacza wrót,
Po kosodrzewie płynie
I mąci ciszę wód;

Czasem się złom rozkrusza
Od ryku wściekłych burz —
Zresztą niezmierna głusza,
Martwota pustych mórz.

Gdym się raz patrzał z góry,
Błądząc po wierchach sam,
W kotliny głąb ponurej:
Ujrzałem marę tam.

Z dłońmi załamanemi
U skalnych legła stóp
I kryła twarz ku ziemi,
Smutna, jak śmierć i grób.

Nie wiem, czy w to bezdroże
Upiory schodzą śnić?
Czy czyja dusza może
Swój ból tu przyszła kryć?...

Z brzegu.

Do wody mętnej, wody szarej
Upadły z brzegu moje oczy —
Patrzę, jak płynie po pustkowiu,
Jak się powoli, głucho toczy,
Jakby płynnego męt ołowiu...

W szuwary płynie i moczary,
W bór ciemny, w oddal, w otchłań świata...

Do wody mętnej, wody szarej,
Co się zaledwo falą rusza:
Upadła z brzegu moja dusza...

I zatopiła się w jej toni
Szarej i mętnej, choć skrzydlata,
Choć jej po kwietnej latać błoni
I srebrzyć skrzydła w jasnej rosie
I z jasnym wichrem iść w zawody...

Bo oczy moje przykuł do się
Rozdzierający smutek wody...

Sonety.

—

I.

Sarkofag w ciemnym wykułem marmurze
I postawiłem w nim urnę z popiołem;
W tej urnie wiele, ah! wiele zamknąłem,
Więcej, niż życie... Wkołom blade róże

Obsadził wieńcem i bluszcze po murze
Ciemnozielone i smutne rozpiąłem — —
Tam ze schylonem idę klękać czołem
I myśl w głębinę dni umarłych nurzę.

Co jest popiołem w sarkofagu owym,
Było mi niegdyś żywem — — mnie się zdało,
Że razem ze mną, z mojem życiem skona...

A oto moje pogrzebione ciało,
A oto dusza moja pogrzebiona
W tym sarkofagu leży marmurowym.

— —

II.

O zimny marmur opieram mą głowę
I serce w urnę z popiołami kładę;
Czuję, jak róże zwisły ku mnie blade
I słyszę smutne szemranie bluszczowe.

Godziny idą... Zda się, że bronzowe
Słychać stąpanie czasu... Gwiazd gromadę
Już noc rzuciła na strop i lewadę
Dokoła w mroki skryła księżycowe.

Jak dawno czoło o grobowiec wsparłem,
Nie wiem — — gdym szedł tu, był dzień na błękicie...
Com czuł, com myślał, nie wiem — — śniłem może...

A może wyszło ze mnie moje życie
I tam, w to zimne, marmurowe łoże,
Tam poszło leżeć w trumnie, z tem umarłem...

— —

III.

Przy sarkofagu tego głuchej płycie
Wiem, że na zawsze kiedyś pozostanę;
Krew moja wsiąka w te głazy ciosane,
Z krwią mą w sarkofag wsiąka moje życie.

Róże i bluszcze, co się tu krzewicie
Niegdyś mą ręką bolesną zasiane:
Splećcie nademną cienistą altanę,
Abym nie widział słońca na błękicie,

Ani księżyca na wieczornem niebie,
Bo każde z świateł tych zbudzić mię może
Wspomnieniem chwili tryumfu przebrzmiałej — —

One promienny mój tryumf widziały,
A jam nie wiedział wówczas, że go włożę
W urnę i w grobu marmurach pogrzebię.

IV.

Jestże to prawdą? Nie jestże złudzeniem?
Mogłoż znicestwieć, co się zdało trwałem?
Tak w noc bezsenną, bezkresną pytałem
Pod bluszczu smutkiem i róż zamyśleniem.

Ze zdruzgotanem na ustach imieniem,
Z sercem od ciosu krwawem i omdlałem,
Na pustce łąki w tę noc długo stałem
Pod sarkofagu kamiennem milczeniem.

A wśród pustkowia niezmiernych cmentarzy,
Gdzieś zanurzony w półmroczne otchłanie,
Jakbym sarkofag ten umyślnie stawił

Naprzeciw jego zadumanej twarzy:
Daleki Sfinksa kształt mi się pojawił,
Jako odpowiedź na moje pytanie...

V.

I wystawiłem kościół, kędy wieczny
Mrok, w którym walą się z pod nieba ściany,
Kościół ogromny, z ciosu murowany...
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .

. . . .
. . . .
. . . .



VI.

Z posępnej ciszy, z grobowej martwoty,
Z kamiennych chłodów owego kościoła,
Coś mnie na słońce, na zieleń łąk woła,
Głos jakiejś wielkiej, głębokiej tęsknoty.

Otom się zbawił zorzy słońca złotej,
Za życia z żywych wydarłem się koła,
Mam cios milczący i mrok dookoła
I głuchą przestrzeń ponurej ciemnoty.

Do łąk zielonych tęsknię i do szumu
Drzew nad potokiem, do ludzkiego głosu —
Lecz jeśli wyjdę z murów mego tumu,

To po to, abym znów na ten świat wrócił,
Któremum wydarł się i którym rzucił,
By się zakopać wśród mroku i ciosu.

VII.

O morza modre, o łąki w rozkwitach,
O lasy śpiewne pieśnią zadumaną,
Kaskady, złotą bryzgające pianą
Ku słońcu, co się płomieni na szczytach:

Oto ma dusza w czarach i zachwytach
Wśród was się miała czuć rozkołysaną
Melodyą jakąś, dotąd jej nieznaną,
Zrodzoną kędyś w kwiatach i błękitach...

Otoście miały być weselem dla niej,
Ogrodem, pełnym woni i kolorów,
I tem smutniejsze jej dzisiaj jesteście...

Śmierć ku niej z morskiej wyziera otchłani,
Śmierć się kołysze nad nią w szumie borów
I w kaskad grzmocie i w kwiatów szeleście...

Dziwna chwila.

Czas płynie... Nigdy więcej nie przyjdą ku sobie —
Rozeszli się na zawsze, na zawsze rozstali,
Żyją, jakby na innym każde żyło globie — —
Czas płynie, czas, co z każdym dniem rozdziela dalej....

Stracona chwila złudy... Już jak grobu płyta
Powoli mchem zarasta i pleśnią zakwita:
Tak owa chwila w pomrok wspomnienia się chowa
I zwolna ginie z oczu, jak płyta grobowa.

Rozstali się... Czy patrzą jeszcze kiedy w stronę
Swojej dawnej przeszłości? Czy oczy zaćmione
Mimowolnie mgłą żalu zwracają ku sobie —
Żyjąc, jakby na innym każde żyło globie?...

Obcy są sobie do dna...

Raz, w dalekich górach,
Gdy się wieczór na ziemię w ciemnych zsuwał chmurach,
Wieczór górski jesienny, posępny i słotny:
Na Anioł Pański dzwon bił. Siedziałem samotny

Patrząc w okno. Tak pusto mi było, jakoby
Same mię otoczyły mogiły i groby,
A dusza moja, nakształt oślepłego ptaka,
Co bijąc skrzydłem próżno, nie śmie zfrunąć z krzaka,
Błąkała mi się w piersi, smutna i samotna
I ciemna, jako noc ta w mrocznych chmurach słotna.
Nagle począł dzwon dźwięczeć... W tej pustce, w tym
[mroku,
Na nieskończone lasów i tęsknot otchłanie,
Smutny, w przestrzeń płynący dzwon na Zwiasto-
[wanie,
Jak u nas tam daleko, u gór moich stoku...
I zdało mi się wówczas, że z chmur, jak lilia,
Wykwitnie twarz anielska, że się mgła rozwija
I że z mgły, nakształt srebrnej światłości księżyca,
Srebrna, cicha i jasna zjawi się Dziewica...
Jam wówczas tylko wierzył... I wówczas, w tej
[zmroczy,
W owej dalekiej stronie, w obczyźnie dalekiej,
W tej samotności grobu: gdym wznosił powieki
I spojrzałem ku niebu — zawilgły mi oczy...
Wezbrało mi się serce... Byłbym ziemię całą
Cisnął do mego serca — ono świat kochało,
To puste, głuche serce w ową dziwną chwilę
Kochało świat do łez...
Byłem podniesiony
W nieziemskie i nieznane mi dotąd regiony

Jakiejś wielkiej miłości, ukojeń wzajemnych,
Zapomnień krzywd i żalów i uniesień ziemnych,
Byłem, jakby na zmarłych ziemskich żądz mogile.
Czułem w wnętrzu mem, w piersi, duch, co się kołysze
Ponad wszystkiem, co ludzkie, z niczem się nie zspala,
Jest jako mgła nad rzeką, pod którą grzmi fala,
A ona ma swą wieczną, niezmąconą ciszę...
I rzekły moje usta w ową dziwną chwilę
Wielkie, święte i czyste: ave Maria...

Rozstali się — i nigdy nie przyjdą ku sobie,
Rozeszli się na zawsze, na zawsze rozstali,
Żyją, jakby na innym każde żyło globie — —
Czas płynie, czas, co z każdym dniem rozdziela dalej —
Są sobie obcy do dna.
Lecz czyż nigdy ona
Nie uczuła nad sercem, jakby wzdłuż jej łona
Płynęła ciepła, duża spadła łza deszczowa?
I nigdy nie słyszała w wieczornej godzinie,
Kiedy dusza się Bogu, jako kwiat rozwinie,
Cichego słów szelestu: bądź zdrowa! bądź zdrowa!
Bądź szczęśliwa na wieki! bądź błogosławiona!...

Refleksya.

Tam, gdy pomyślę, że się spotkać mamy
Wstąpiwszy w wiecznej Tajemnicy bramy,
My, cośmy w krótkiej wspólnej życia chwili
Kochali siebie, lub nienawidzili:
Niczem mi zda się, prochem, wobec niemej
Martwoty śmierci, wszystko, co czujemy.

Tam, jeśli spotkam pomiędzy smętnemi
Marami, ludzi, których tu na ziemi
Nienawidziłem niegdyś, lub kochałem:
Czyliż ich sobie umarły przypomnę?
Uczucia owe będąż mi przytomne,
Które wstrząsały mem żyjącem ciałem?

Tam chyba spokój jest wieczny... Więc gdy mię
Ta myśl ogarnie, kiedy z tym orszakiem
Widzę złączonych i siebie i ludzi,
Wtłoczonych w chmury umarłych olbrzymie
Na wieki wieków: wówczas mi się takiem

Niczem wydaje treść duszy człowieczej,
Która się życiem oślepia i łudzi,
A której wszędzie i zawsze śmierć przeczy.

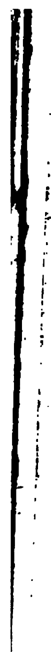
Z tą myślą wszystko przebaczyć tu mogę
A razem żądać win mych niepamięci,
Bo Tam, w posępną śmierci idąc drogę,
Cielesnym szałom i nędzom odjęci,
Czyż nie będziemy, jak głuchy i niemy
Mgieł poczet, co się przez górskie pustynie
Przesuwa wolno i gdzieś w bezmiar płynie,
Jeśli wogóle Tam jeszcze będziemy?...



VII

SONET Z »ANIOŁA ŚMIERCI«







/szystko więc przeszło, wszystko przeminęło
nigdy, nigdy, nigdy nie powstanie;
/szystko w grobowe runęło otchłanie,
'a wieki wieków, na wieczność runęło...

Iilczące, ciche, straszne śmierci dzieło...
Iiczemże szczęście, niczemże kochanie?
Iiczem ból?!... Niczem!... W głuchym oceanie
.eż okrętów bez śladu zginęło...

'rzy siostry były, trzy siostry, jak Psyche
'rzeczyste, jasne, trwożliwe i ciche:
Viara, Nadzieja, Miłość ich imiona...

, tych dwie umarły, a trzecia nad niemi
V niemej boleści, z rękoma zwisłemi,
Iiłość, stanęła jak słup, odrętwiona.



Spis rzeczy

Str.

I. Wiersze różne.

Str.

VI. Fantazya liryczna.



